MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 45 WARSZAWA, 31 PAŹDZIERNIKA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

CZERWONE NIEBEZPIECZEŃSTWO

W OBECNEJ swojej ostrej formie czerwone niebezpieczeństwo istnieje od czasu, kiedy w latach 1918—19 Rosja została opanowana przez nadesłaną przez Niemcy szajkę bolszewickich komunistów z Leninem i Bronstein-Trockim na czele i kiedy utworzona została w Moskwie III Międzynarodówka, t. zw. Komintern. Odtąd wre zacięta walka.

Pierwsze uderzenie w formie otwartej wojny, spadło na Polskę. Tak jak było dawniej—w obronie chrześcijaństwa, tak w r. 1920 Polska, zaledwie odbudowana, bohaterskim wysiłkiem swego narodu zatrzymała pod murami Warszawy pochód Tuchaczewskiego i ocaliła Europę przed zalewem hord barbarzyńskiego Wschodu. Po tej porażce bolszewicy zrozumieli, iż nie da się zgnieść państw „kapitalistysznych" w otwartym boju. Komintern zabrał się do pracy, przygotowując w całym świecie ogniska rewolucji, mającej od wewnątrz rozsadzić burżuazyjne państwa i ustanowić rządy proletariatu.

Nie wszystkie narody i państwa zrozumiały należycie grożące im z tej strony niebezpieczeństwo. Nie wszystkie dojrzały istotnie—żydowskie źródło tej podstępnej, różne formy przybierającej roboty rewolucyjnej. Walka jednak została podjęta. Najszybciej i najskuteczniej poprowadziła ją Italia. Świadczy o tym wielkie dzieło Mussoliniego, który z rąk króla otrzymawszy rządy, zgniótł panującą w kraju anarchię, podniósł psychikę narodu włoskiego do wyżyn świetnej tradycji rzymskiej i dziś, pewny swego patriotyczną dumą przejętego narodu, może nie bronić się lecz atakować.

Niemcy, pod wodzą Hitlera, przeobraziły się w państwo narodowe, w którym walkę z polityką żydowską postawiono oficjalnie jako naczelne zadanie niemieckiego narodu. W innych jednak państwach robota Kominternu miała łatwiejsze pole. Francja, rządzona przez masonerię, nie mogąca się zdobyć na reformę swego zwyrodniałego ustroju liberalno-parlamentarnego, jest dziś bardzo silnie podminowana. Hiszpania stała już nad brzegiem przepaści. Uratował ją heroiczny wysiłek gen. Franco, a wojna podjęta przez narodową Hiszpanię w obronie swej wielkiej tradycji i podstaw zachodnio-europejskiej cywilizacji, może się stać punktem zwrotnym w historii wielkiej kampanii rewolucyjnej, podjętej w świecie przez żydowski bolszewizm.

Czując zbliżającą się porażkę, rządy rewolucyjnej Hiszpanii, wespół z bolszewicką Moskwą, czynią rozpaczliwe wysiłki, aby wojnę domową przeobrazić w ogólną zawieruchę. Tym się tłumaczą napady nieznanych piratów na morzu Śródziemnem i groźby rzucane przez del Vayo i Largo Caballero, odwołujących się do czynnej pomocy proletariuszów innych krajów. Do tegoż celu zmierzają podstępne manewry Litwinowa.

Jednak wielkie państwa europejskie nie chcą, boją się rozpętania wielkiej wojny. Na uroczystościach berlińskich, gloryfikujących oś Rzym-Berlin, Mussolini i Hitler zgodnie oświadczyli się za pokojem. Chyba, gdyby miało przyjść do zwiększenia czerwonego niebezpieczeństwa, do postępującej bolszewizacji Europy... Hitler w Norymberdze powiedział wyraźnie, iż nie zniesie, ażeby w bliskości Niemiec istniało ognisko rewolucyjnego komunizmu. Do kogo skierowane były te słowa—do Francji, do Czechosłowacji, czy może do Polski? A Mussolini w swej mowie berlińskiej powiedział, iż są momenty, w których słowa nie wystarczają i potrzebny jest czyn.

A więc poważnym i aktualnym niebezpieczeństwem dla pokoju jest rewolucyjna robota czerwonej Moskwy. Kto chce pokoju, ten musi pragnąć i dążyć do tego, aby domowa wojna w Hiszpanii zakończyła się możliwie szybko pełnem zwycięstwem gen. Franco i ustaleniem narodowego państwa hiszpańskiego.

Tymczasem masońska Francja targuje się. Chciałaby ona, żeby sprawa hiszpańska zakończy-

ła się kompromisem między obu walczącymi stronami, żeby nie było zwycięzców i pokonanych. Francja i Anglia, w związku z negocjacjami o kontrolę żeglugi na morzu Śródziemnem, wystosowały do Rzymu wspólną notę, w której zażądały znowu wycofania przede wszystkim cudzoziemskich ochotników z Hiszpanii, poczem dopiero mogłoby nastąpić prawne uznanie stron walczących. Targi te oczywiście trwać będą jeszcze czas pewien, ale trzeba mieć nadzieję, że pod wpływem Anglii, która chce zbliżenia z Włochami i z narodową Hiszpanią, Francja zmieni swe dotychczasowe stanowisko i zrozumie grożące jej czerwone niebezpieczeństwo. Może wówczas dojdzie do uzdrowienia i do wyzwolenia narodu francuskiego spod niebezpiecznego jarzma żydowsko-masońskiej polityki. Byłby to moment pierwszorzędnej wagi dla pokoju europejskiego i dla interesów Polski, która jest sojuszniczką Francji.

Polska nie jest jeszcze państwem narodowem, t, j. państwem, w którym naród polski, spojony patriotycznem uczuciem i wiarą w swoją wielką przyszłość, mógłby się skutecznie przeciwstawić grożącemu mu czerwonemu niebezpieczeństwu. W ostatnich czasach robota moskiewskiego Kominternu ożywiła się u nas znacznie. Prowadzi się ona z pomocą masonerii pod pozornie niewinnymi hasłami frontu ludowego, frontu demokratycznego czy lewicowego. Przeszkadza jej niewątpliwie szerzący się żywiołowo w masach nastrój antysemicki, ale mimo to ogromna ilość niezadowolonych daje jej dogodne pole działania. Wobec tego, iż ogólna sytuacja międzynarodowa stoi pod znakiem czerwonego niebezpieczeństwa, byłoby ważnem, ażeby Polska, wprowadziwszy u siebie ustrój narodowy, stała się siłą, mogącą zniweczyć podejmowane z Moskwy próby rozstroju i przyczynić się w ten sposób na równi z innymi narodowymi państwami do ugruntowania pokoju.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

DRZEWA PRZESŁANIAJĄCE WIDOK LASU

O KONIECZNOŚCI rewizjonizmu w historii i uwzględnieniu w niej roli wszechświatowej polityki żydowskiej oraz tajnych związków wywrotowych z masonerią na czele pisze się i mówi coraz więcej zarówno w Polsce, jak i w całym świecie. Coraz więcej badaczy ogłasza swe prace w tej dziedzinie i uderza na alarm, wykazując zgubne wpływy tajnych związków na bieg dziejów, oficjalna jednak nauka nie chce tego uznać. Człowiek fakty dla siebie radosne łatwo stwierdza i zgadza się na nie, ale na przykre zamyka oczy. Tak też i czynią wielcy panowie profesorowie, którzy nie chcą się zgodzić z rewizjonizmem, bo musieliby stwierdzić, że nie wiedzą i muszą się uczyć na nowo. To jest, obok „wtajemniczenia", główną przyczyną nie uznawania re wizjonizmu.

Ale są jeszcze i inne przyczyny. Oto wąscy „specjaliści od jednego ruchu lub epoki" nie chcą sięgnąć myślą dalej, gubią się w szczegółach, które zaciemniają im obraz rzeczywistości, nie potrafią zbadać przyczyn, które spowodowały takie, czy inne posunięcia, nie potrafią ze sobą faktów powiązać i nie znają nawet wszystkich prądów, które nurtowały w danym wieku. Jako najlepszy dowód tego (nie chcąc tykać polskich „wielkości") niech nam posłuży książka Bernarda Faij'a, profesora Collége de France, pt., „*La franc-maçonnerie et la révolution intellectuelle du XVIII-e siecle*" opatrzona adnotacją, że wszelkie prawa przekładu, reprodukcji i adaptacji na wszystkie kraje są zastrzeżone. Z wielkim zainteresowaniem wziąłem do ręki tę książkę autora uprzednio wydanych już w języku angielskim i francuskim jedenastu prac, lecz spotkało mnie wielkie rozczarowanie, gdyż pogląd na wielką rewolucję umysłową XVIII w. nie jest ani zupełny ani rewelacyjny. Wprawdzie w pierwszym (najlepszym) rozdziale traktuje autor szeroko o rewolucji umysłowel, zamieniającej cywilizację opartą na kulcie tradycji i przeszłości przez świat, w którym panuje idea wiecznego postępu, dowodzi, że w XVIII w. powstała zupełna zamiana wartości, wszystko co było dobrem uprzednio jest złem obecnie, a co było złem uprzednio jest dobrem i zasługą obecnie, przyznaje masonerii twórczą i kierowniczą rolę w rewolucji, ale wcale nie wyświetla przyczyn tego stanu rzeczy. Masoneria i „filozofowie" XVIII w. są dla niego za bardzo automatyczni; nie wspomina ani razu o roli żydowskiej i kabalizacji społeczeństw. Nie znanym jest również autorowi cały wielki prąd okultystyczny, którym w epoce czystego rozumu hipnotyzowano ofiary terroru, aby bez oporu szły na rzeź. Opowiadanie o astrologii hrabiego de Boulainviliers tego przedmiotu nie wyczerpuje.

Drugim najlepiej opracowanym jest rozdział tyczący się masońskiej akcji rewolucyjnej, w którym, między innymi, jest masa szczegółów tyczących się rewolucji amerykańskiej „świętej wojny o wolność ludów". Okazuje się, że w chwili wybuchu wojny Anglia posiadała 8 milionów ludności, a 13 stanów amerykańskich 3 miliony, idee separatystyczne mogły nawet nurtować w Ameryce, postępowanie Anglii wywoływało niezadowolenie, a duża odległość metropolii mogła budzić nadzieje na powodzenie akcji, ale to wszystko nie mogło dawać żadnej nadziei zwycięstwa, albowiem kraj był wewnątrz nie jednolity, a nazewnątrz grozili mu: Francuzi, Hiszpanie i Indianie. 13 kolonii angielskich w Ameryce nie miało ani jednego rządu, ani ośrodka administracji, ani jedności religijnej, obyczajowej i zwyczajowej, Była to zupełna mozaika, panowała wzajemna nieufność i nienawiść. Jedne kolonie zależały od króla, inne od właściciela. Zebrania władz lokalnych istniały wprawdzie, lecz ich atrybucje, daty zebrań i wyborów ulegały zmianom. W jednych stanach przeważało mieszczaństwo handlowe, w innych arystokracja i wielcy właściciele ziemscy. Południe miało dużo niewolników i nimi się głównie posługiwało w plantacjach, północ miała ich mało i mogła się bez nich obejść.

Pod względem narodowościowym ludność była mieszana i wzajem sobie nie ufała. Anglosascy koloniści z Massachusetts nie ufali Holendrom z Nowego Jorku, Niemcom i Irlandczykom z Pen-

sylwanii i czarnym z południa. Również Boston zazdrościł Filadelfii i Nowemu Jorkowi. Pod względem religijnym kraj był bardzo zróżnicowany: panowały różne sekty protestanckie, które się wzajemnie zwalczały. Jednem słowem cały kraj był rozdarty i o żadnej wspólnej akcji nie mogło być mowy; ten stan rzeczy zmieniła dopiero masoneria, która sobie Amerykę upodobała na siedlisko i bardzo szybko rozprzestrzeniła się w koloniach. Oto parę dat jej rozwoju: w 1731 r. powstaje loża w Filadelfii, wielkim mistrzem kolonii: Centra, Daniel, Coxe zostaje ks. Norfolk. W 1733 r. powstaje pierwsza regularna loża w Bostonie, w 1734 r. w Georgii, w 1736 r. w Nowym Hampshire, w 1737 r. w Nowym Jorku, w 1743 r. w Wirginii i Rhode Island, w 1750 r. Maryland i Connecticut, w 1753 r. w Karolinie Północnej. Około 1760 r. w Ameryce nie były kąta, gdzieby nie było masonerii.

W 1752 r. zostaje zwołany kongres do Albany, którego duszą był Beniamin Franklin — wybitny mason, lecz do zgody jeszcze nie doszło. Masoneria jednak w pracy nie ustawała; prawo wizytacji, opiewające, że każdy mason może pracować w każdej regularnej loży swego rytu, walnie jej w tem pomogło.

Do rozsiewania „światła” masońskiego zakłada Franklin „Amerykańskie stowarzyszenie filozoficzne” podobne do londyńskiego „Królewskiego stowarzyszenia nauk”. Gazeta pensylwańska w Pensylwanii, Dziennik w Nowym Jorku i Gazeta bostońska rozsiewały światło masońskie, i broniły protestantów przed katolikami.

Po długim okresie propagandy rewolucyjnej dano hasło do rozpoczecia powstania. Zaczęło się w Bostonie, gdzie było dużo niezadowolenia: kupcy byli przeciwni Anglii, duchowni różnych sekt amerykańskich bali się kościoła anglikańskiego, ludność była gotowa dać w skórę żołnierzom i marynarzom, albowiem powodów do sprzeczek nie zbrakło.

16. XII. 1773 r. loża św. Andrzeja zebrała się niedaleko portu w oberży „Dzielnego dragona i armii masońskiej”, która była jej własnością, pod przewodnictwem chirurga Józefa Warren, przyjaciela Franklina. W międzyczasie grupa przebranych za Indian rzuciła się na statki angielskie, zrabowała je i 342 skrzynie herbaty wrzuciła do morza zanim siły angielskie mogły interweniować, poczem uciekła do oberży. Nastąpiły represje angielskie i ukaranie Bostonu, co było płomieniem na prochy.

Zwołane do uchwalenia obrony Kongresy poszczególnych stanów okazały ducha czysto masońskiego w swych wszystkich aktach, a szczególniej w „Deklaracji niepodległości”, która stała się Ewangelią wolności politycznej dla masonów Europy i ich przyjaciół i wielbiła parlament, jako szczyt postępu i mądrości politycznej. Charakterystycznem jest, iż Stany, które były zawsze w konflikcie z parlamentem angielskim, w deklaracji swej uderzyły w króla, a oszczędziły parlament.

Dużą rolę odegrała również masoneria podczas wojny. Armia amerykańska była raczej armią Waschingtonu niż Kongresu. Źle opłacana i traktowana przez rząd, nie miała doń zaufania. Jedność podtrzymywała tylko masoneria oraz przywiązanie do Waschingtonu. W armii były liczne loże wojskowe: 11 lóż na 15000 wojska. Najznaczniejszą z lóż była loża: „Unia amerykańska”. Postępowanie armii angielskiej podczas wojny jest podejrzane (jak zwykle masoni zdradzali na rozkaz lóż). Ciekawe dane przytacza również p. Faij z pobytu Franklina w Europie.

Wywoławszy rewolucję w Ameryce postanowiła masonerja doprowadzić do jej zwycięstwa. W tym celu przeprowadzono odpowiednią agitację. W parlamencie angielskim bronią rewolucjonistów masoni: William Pitt i Edmund Burke. Dla skłonienia Francji do wojny z Anglią przyjechał do Paryża Beniamin Franklin, wstąpił do loży „9 sióstr” (do której należał Voltaire) i dwa razy: w 1779 i 1781 r. był jej „czcigodnym“.

Zaczęto urabiać opinię: bankiety na cześć Ameryki, publikacje, karykatury i malowidła w jej obronie. Rozdawano i rozprzedawano konstytucję amerykańską. Stworzono mit „cnotliwej rewolucji”, tak, że rewolucjonistów przestano uważać za społecznych zbrodniarzy. „Rewolucja przeciw tyranii jest najświętszym obowiązkiem”, aż wreszcie Ludwik XVI uległ i wydał wojnę Anglii. W parę lat po tem masoneria wtrąciła Francję na dno przepaści.

Przygotowanie wielkiej rewolucji antyfrancuskiej, jak również i rola szlachty w masonerii XVIII w. jest dość dobrze opisana, ale jak na wielkiego profesora daleko nie wystarczająco, daje tylko, jak powiedziałem dużo szczegółów o Anglii i Francji, nie pisze nic o innych krajach, nie daje całokształtu obrazu, jest więc daleką od doskonałości.

A. P.

OKRUTNA RZECZYWISTOŚĆ

(ROZMOWA Z DZIAŁACZEM POLSKIM Z LITWY)

PRZED KILKU dniami odwiedził mnie jeden z wybitnych działaczów polskich z Kowna, człowiek, którego znam od wielu lat i uważam za wiarygodnego, co więcej, za wybitnie zasłużonego na tym terenie. Nie mogąc, ze względów łatwo zrozumiałych wymienić nazwiska mego czcigodnego rozmówcy, uważam za obowiązek publicysty odsłonić obraz okrutnej rzeczywistości, jaka zwłaszcza w latach ostatnich, zapanowała w stosunkach litewsko-polskich.

Litwa jest jedynym państwem w Europie, w którym nie mamy przedstawiciela dyplomatycznego ani stosunków prasowych. Co za tem idzie wieści o sprawach wewnętrznych litewskich dochodzą nas z konieczności z „trzeciej ręki”. A przecież nie wolno zapominać, że liczba Polaków w Kowieńszczyźnie wynosi przeszło 200 tysięcy. Jest to jedno z największych naszych skupień za granicą, widzianą zresztą gołym okiem od Oran czy Druskienik dzięki wiechom, jakiemi wytyczono uparcie nazywaną przez Litwinów „linię demarkacyjną”. Życie, a raczej straszliwa niedola tych dwustu tysięcy, stanowiących żywą cząstkę Rzeczypospolitej obchodzą nas i będą ob-

chodziły nadal. Odsłonięcie tych spraw na *forum* publicznym jest w tej chwili jedyną formą pomocy, jaką możemy im okazać.

Tu oddaję głos mojemu rozmówcy, który mieszka stale na Litwie i bliższy jest w swej robocie społecznej tych spraw od dziennikarza zagranicznego. Opowiada mi on obszernie o stanie szkolnictwa polskiego, o odbywającej się w roku bieżącym likwidacji reszty Stowarzyszeń polskich, o niedoli duchowieństwa naszego, wreszcie o systematycznych krwawych ekscesach, jakich dopuszczają się władze „praworządnej” Litwy w stosunku do „mniejszości” polskiej, stanowiącej ni mniej, ni więcej ale 9% ogółu ludności kraju. Z rozgałęzionej do niedawna sieci szkół pozostało nam przy końcu ubiegłego roku zaledwie kilkanaście. Kilkanaście szkół z niespełna 400 dzieci, to już zakrawa na ironię w stosunku do liczby Polaków. Łudzono się jednak nadzieją, że jest to stan przejściowy, po którym nastąpi poprawa. Tymczasem w czerwcu r. b. istniało już na całym terenie Litwy jedynie dziesięć szkół, oczywiście—prywatnych, utrzymywanych ze składek społeczeństwa przez kowieńskie Towarzystwo „Pochodnia”. Przyczyną zaniku szkolnictwa jest sprawa pozornie drobna, ale jakże ważka. Idzie tu o wypełnienie rubryki w paszporcie, dotyczącej narodowości petenta. W pierwszych latach istnienia państwa litewskiego przy określaniu tej narodowości brano pod uwagę zarówno dokumenty, jak życzenie zainteresowanego. W okresie ostatnim, po puczu Waldemarasa, przepisy dotyczące powyższego ulegały stałemu obostrzeniu. Nie dosyć już było złożyć dokumenty stwierdzające pochodzenie polskie obojga rodziców. Zaczęto brać pod uwagę miejsce urodzenia, które—stosownie do lokalnej geografii litewskiej—zaliczone było z reguły do Litwy, jeśli petent urodził się na wileńszczyźnie, w nowogródzkiem, a nawet—na Polesiu. Małżeństwo mieszane, Litwina z Polką, lub naodwrót, uchodziło odtąd za rodzinę litewską. Piszemy o tym dlatego, że rubryka pochodzenia, wypełniona w paszporcie stała się od kilku lat decydującą odnośnie nauki dziecka w szkole polskiej.

Tu należy więc szukać przyczyn, dla których liczba dzieci, uprawnionych do pobierania nauki w polskiej szkole początkowej maleje z każdym rokiem. Ale perfidia władz litewskich nie poprzestała na powyższym. Dzieciom, które zostały dopuszczone do nauczania w języku polskim robi się niezliczoną liczbę utrudnień, a nauczycielstwo—jedno z najbardziej ideowych jakie znam, szykanuje się w sposób, nie ustępujący Sowietom. Dość powiedzieć, że decyduje w sprawach szkolnictwa nie Kuratorium kowieńskie, lecz — jakoby w myśl panującego na Litwie stanu wojennego — powiatowy komendant policji (!). Można sobie wyobrazić, w jaki sposób satrapa ten odnosi się do nielicznych zresztą szkół naszych. Pod byle pozorem wysiedla się więc nauczyciela wiejskiego na krańce Litwy, aby móc zamknąć szkołę.

W ten sposób unieruchomiono niedawno jedną z najlepiej prowadzonych szkół, w Bieniuszach a kierownika jej, Lipniewicza, deportowano. Sześćdziesiąt dzieci polskich pozostało tam na łasce i niełasce losu. Podobnym represjom uległy dwie nauczycielki polskie w Wiłkomierzu (jednym z większych ośrodków polskich) i w Wędziagole, gdzie istniała jeszcze w roku bieżącym jedna z ostatnich świetlic. Komendanci powiatowi węszą przestępstwo nawet w faktach domowej nauki (korepetycji) lub przygotowania dziatwy do pierwszej spowiedzi.

Za powyższe „tajne nauczanie” nakłada się wysokie, sięgające kilku tysięcy litów grzywny, konfiskuje się mienie i pozbawia praw obywatelskich. Policja litewska teroryzuje zarówno resztki nauczycielstwa, jak rodziców, posyłających dzieci do szkół polskich. O nowych kandydatów na opróżnione w ten sposób stanowiska nauczycielskie jest coraz trudniej. Specjalna Komisja egzaminacyjna przy Uniwersytecie Witolda w Kownie obcięła w r. ub. $^9/_{10}$ kandydatów Polaków. Ale to jeszcze nie wszystko. Czego nie mogą uskutecznić przepisy tego „praworządnego państwa”, dokona brutalna pięść szaulisów. Znane są krwawe napaści na nauczycieli, bojkot nielicznych sklepów polskich w Kownie i Poniewieżu, pogromy dokonywane od r. 1930, podczas których zniszczono doszczętnie polską księgarnię, szereg sklepów prowincjonalnych. Za każdym razem „nieznani sprawcy” tych pogromów, posiłkujący się drągami, płytami wyrwanymi z chodników, bądź gazami łzawiącymi, nie zostali ujęci. W d. 3 maja, obchodzonym wśród studentów Polaków uroczystym zebraniem, dokonano na nich krwawego napadu.

Rozmówca mój poświęca sporo uwagi sprawom kościelnym. Mówi mi ze zgorszeniem o nieustannych bójkach, prowokowanych przez Litwinów podczas tak zwanych „nabożeństw polskich”, wyrażających się w chwili obecnej jedynie krótkim odczytaniem Ewangelii w tych ośrodkach, gdzie posiadamy przytłaczającą większość i to w godzinach rannych. Duchowieństwo polskie przestało istnieć, miejsce jego zajęły rozpasane do najwyższych granic kadry litwomanów. Niema dziedziny życia, w którą nie wejrzałoby brutalne oko argusa policyjnego. Nawet sport, cieszący się do niedawna względną swobodą jest prześladowany.

Nie wolno jest używać okrzyków polskich podczas zawodów. Faktem jest, że podczas ostatniego meczu piłkarskiego naszej „Sparty” z jednym z klubów kowieńskich publiczność gorąco oklaskiwała wyczyny zawodników polskich. Dało to wystarczający asumpt do aresztowań i do anulowania wyników rozgrywek. Polskość jest tak znienawidzona, że władze odmawiają, jak to miało miejsce w Malatach i Szawlach zezwoleń nawet na odczyty... z dziedziny rolnictwa.

Do niedawna posiadaliśmy kilka czasopism polskich, z których pozostało już tylko jedno, kowieński „Dzień Polski”. Myliłby się jednak ten, ktoby czytając, okazany mi przez gościa z Kowna, numer tego dziennika, sądził że tak piszą i czują Polacy. Ze szpalt tego, zbeszczeszczonego organu inteligencji polskiej idą ku nam wieści tak straszne, że oczom swoim wierzyć się nie chce. Przeglądam więc artykuł wstępny o „Ciemnocie polskiej na Wileńszczyźnie”, o „zdrajcach polskich” na Litwie, starający się dowieść, że dwieście tysięcy rodaków naszych, zamieszkałych w tym kraju to — spolszczeni Litwini. Słowo *„lenkas“* (Polak) stanowi dziś obelgę, ruguje się nas z Uniwersytetów, Seminariów nauczycielskich, ze szkół zawodowych. O wszystkim tym czytam na łamach drukowanego po polsku pisma zwanego, przez perfidię „Dniem Polskim”.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie te „artykuły” drukowane są pod terrorem, że autorami tej ohydy są zamaskowani pismacy litewscy. Ale łatwo można sobie wyobrazić, jaki chaos i dezorientację szerzy podobna treść, zawarta w jedynym, zewnętrznie polskim dzienniku. Nie sposób mi jest wyliczyć nawet drobnej części faktów opowiedzianych mi i udowodnionych przez mojego rozmówcę.

Okrutna rzeczywistość, jaką poznałem z ust jednego z najzasłużeńszych działaczów polskich w Kownie, to istne dantejskie piekło. Cóż się stanie, kiedy z dniem 1 stycznia 1938 r. przestaną istnieć pozostałe Stowarzyszenia polskie, rozwiązane, w liczbie 15, przez ministra Spraw Wewnętrznych? Kto przejmie nauczanie, majątek ruchomy naszych szkół i świetlic? Dokąd udadzą się niedobitki nauczycielstwa, pracujące w chwili obecnej z bezgraniczną ofiarnością?

Oto pytanie, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi, a raczej odpowiedź ta zarysowała się w naszych umysłach, jak bezdenna otchłań tragizmu. Losy 200 tysięcy Polaków na Litwie, to sprawa dużej miary, której dla jakichbądź względów nie wolno pokrywać milczeniem.

Potomkowie Mickiewiczów, Zanów, czy Narbuttów nie mają prawa wsiąknąć w cuchnące bagno dzisiejszej Litwy!

W—b.

O UPRAWNIENIU GWARY

NAWIĄZUJĄC niniejszem do dyskusji, która na innych łamach[1]) toczyła się pomiędzy niżej podpisanym a p. Janem Bielatowiczem w sprawie gwary jako języka literatury ludowej, rozważania poniższe rozpocznę od kwestji wstępnej, tej, od której dyskusja wyszła: Czy mianowicie używanie języka ludowego przez pisarza stanowić powinno kryterjum jego „ludowości“, czyli przynależności do „pisarzy ludowych“? Tak właśnie twierdzi p. Bielatowicz, zaliczając do „pisarzy ludowych“ Dygasińskiego, Tetmajera, Stanisława Witkiewicza i wielu innych o przynależności kulturalno-społecznej inteligenckiej, a to dla tego, że świat języka ludowego jest „samodzielnym światem“, i tylko ktoś, kto, albo wyszedł sam z ludu, albo też głęboko się z nim zżył, „uludowił“ się (żebym tu dodał), może gwarą władać nietylko poprawnie, lecz i artystycznie; a powtóre dlatego, że „klasa i jej cechy nie są przeznaczeniem człowieka“, w obrębie narodu jest krążenie dóbr kulturalnych, czyli niema powodu, by pod mianem „ludowy“ rozumieć tylko — jak to właśnie ja czynię — „prostego człowieka“, który jest pisarzem. Odpowiadam tu: Kwestja jest terminologiczna, idzie o wygodną umowę o znaczeniu wyrazu, a umowa ta zależy od tego, jakie tu zagadnienie uznamy za najbardziej zajmujące. Moje (t. zw.) „podejście“ do literatury ludowej jest socjologiczne, czy tam historyczno-kulturalne: zainteresowało mię, iż wiele osób pracujących fizycznie, nie posiadających wyższego wykształcenia, zaczęło pisać utwory literackie; to fakt nowy; postanowiłem sobie tym ludziom i tym utworom przypatrzyć się. Jakżeż nazwać ich inaczej niż pisarzami, „(właśnie tak a nie inaczej) ludowymi“?

Ani język, którego używają, ani żadna inna cecha ich twórczości, nie mogły być wzięte jako kryterjum przynależności do pisarzy ludowych, skoro właśnie trzeba badać jaki jest język i inne cechy ich twórczości. W szczególności język ludowy, jako kryterjum ludowości pisarza tem bardziej nie może być użyty, iż tylko niewielu pisarzy ludowych nim się posługuje, a natomiast używali go nieraz pisarze, których nie można zaliczyć do „ludu“. Otóż sądzę, że dopóki istnieć będzie w społeczeństwie ta warstwa społeczna, która nazywa się „ludem“, t. j. ludzie fizycznie pracujący, nie biorący udziału w oficjalnej i regularnej oświacie szkolnej na stopniu wyższym i średnim, tak długo to słowo „ludowy“ będzie miało ów niedwuznaczny sens i będzie wygodnie używać go odnośnie do zagadnień tyczących się tej warstwy społecznej. Ale naturalnie można i w innych sensach mówić o „ludowości pisarza“: Np. pisarz, który ma tę ambicję, iż on lepiej niż kto inny wyraża najwłaściwsze idee ludowe, albo jakieś specjalnie „ludowe“ podstawy ducha, może o sobie mówić, że jest pisarzem „ludowym”, choćby z ludu nie pochodził; pisarzem „ludowym” można też nazwać tego, który umiał trafić do ludu i tam znaleźć najliczniejszych czytelników, a w takim razie najbardziej ludowym pisarzem polskim byłby autor Trylogji, bardziej ludowym niż Orkan, i Reymont, nie mówiąc już o Kasprowiczu. Sienkiewicz, który skądinąd, ze względu na swe pochodzenie i swą postawę zasadniczą, jest pisarzem rdzennie szlacheckim. „Ludowym” będzie także pisarz popularyzator, Chociszewski albo Promyk, ci wszyscy niezmiernie dla oświaty ludu zasłużeni, acz społecznie do ludu nie przynależni. Ale znów Tetmajera, choć w jednej części swej twórczości jest tak dalece ludowym, iż go żaden autentyczny góral nie zakasuje, to jednak trudno byłoby bez reszty określać go jako pisarza „ludowego”, bo ludowość jego nie obejmuje całego człowieka. I dalej: Nawet o Kasprowiczu trudnoby mówić kategorycznie jako o „pisarzu ludowym”, choć wolno o nim powiedzieć, że jego twórczość to jest właśnie owo — wedle Norwidowego pragnienia, — owo „ludowe podniesione do ludzkości”; gdyż „ludowość” tak Kasprowicza, jak i innych twórców ludowego pochodzenia, którzy zdobyli wyższą intelektualną kulturę, jest już czemś innem niż „ludowość” twórców, którzy tego wykształcenia nie otrzymali; to właśnie jest zagadnieniem, jak wygląda ludowość przefiltrowana przez intelekt, a jak ta, która jest bliżej swego żywego źródła.

Jeśli dojdę do tego, że Kasprowicz w „istocie” jest „chłopem”, to będzie to punkt dojścia, a nie wyjścia; ale, zastanawiając się nad Sawczukiem, mogę dojść do przekonania, iż w „istocie” jest on „inteligentem”, i znowuż będzie to punkt dojścia, a punktem wyjścia będzie właściwa jego lokalizacja na tle środowiskowem. Uważam więc, że powinniśmy się zgodzić aby słowa: „ludowe, ludowość” brać w ich sensie najściślejszym, zresztą potocznym jako pochodne od słowa „lud”, oznaczającego warstwę społeczną,

---

[1]) W Prosto z Mostu.

określoną jak powyżej. Ale kończę tę terminologiczną kwestję, i przechodzę do zagadnień o gwarze jako języku literackim.

*

Dyskusja wzmiankowana, ale zwłaszcza cenny, a dyskusję tę poprzedzający artykuł p. Kazimierza Budzyka w Języku Polskim [2]), doprowadzają do zagadnienia: Czy wolno używać gwary w literaturze, a to w pewien szczególny sposób, który to sposób zostanie wyłuszczony w ciągu dalszych rozważań — i będzie głównym ich przedmiotem. Ale zanim tam dojdziemy, spytajmy ogólniej, i poniekąd paradoksalnie: Czy wogóle wolno używać gwary w literaturze? Pytanie dawno nie aktualne, ale samo pytanie, całkiem bez sensu i było ono postawione przed laty—i to nie przez kogo innego, tylko przez Konopnicką, która odpowiedziała negatywnie... W r. 1888 w Tygodniku Ilustrowanym zaczął ukazywać się Beldonek Dygasińskiego, a wtedy w Gazecie Polskiej Konopnicka wystąpiła przeciw wprowadzaniu języka ludowego do literatury, mianowicie literatury przeznaczonej dla czytelków wykształconych; niestety p. Władysław Wolert, który opowiada nam o tem [3]), nie przytoczył argumentów Konopnickiej, tylko same kontrargumenty Dygasińskiego: „Rzeczy ludowe mają takie samo prawo do literatury jak i nieludowe"... Powołuje się autor Beldonka na przykład Dantego, który mając do wyboru język literacki, łacinę, którą wybornie władał, użył włoskiego, ówczesnego języka ludowego: „Język Beldonka jest moim językiem macierzystym z pod Skalbmierza... Na ten sam język przełożono niegdyś Biblję Szaroszpatacką i Statut Wiślicki... Gdyby Imcipan Pasek, mój współziomek, wyrzucił łacinę ze swych pamiętników, zostałby się język mało co różny we frazesie i składni od mego Beldonka"...

Gwara, używana najpierw jako sposób charakteryzacji osób i środowiska, weszła niebawem już w literaturę polską jako językowy materjał artystyczny — i została doprowadzona do takich wyżyn stylu, jak u Reymonta i Tetmajera, nie wspominając już o wielu innych, w pierwszym rzędzie o Orkanie. To sprawa załatwiona — i dobrze załatwiona.

Ale z innej strony mogę zanotować głos przeciw gwarze w literaturze: Przed kilku laty toczyła się na łamach miesięcznika Teatr Ludowy, wydawanego przez prof. Jędrzeja Cierniaka, dyskusja nad gwarą; inteligenci, Cierniak, Kwieciński, Koniński, byli za gwarą w literaturze ludowej (dla ludu i przez lud tworzonej), ale pewien chłopak wiejski z Pomorza oświadczył się przeciwnie: Dlatego chcą nauczyć się czytać dobrze po polsku, żeby mogli czytać książki wielkich pisarzy, i dlatego, że nie każda gwara jest dla nich dość zrozumiała, np. góralska lub podkrakowska, sprawiają trudności w czytaniu jemu i jego towarzyszom. Zarzuty wielkiej wagi, godne zastanowienia się.

Przytoczę jeszcze inną, tym razem własną restrykcję: Są gwary i gwary, są czyste, t. j. stosunkowo najczystsze, stosunkowo najrdzenniejsze gwary wiejskie, i są gwary miejskie, zanieczyszczone w wysokiej mierze nalotami obcymi, głównie niemieckimi; są to właściwie już żargony, czyli raczej „żargoty", który to dowcipny neologizm St. Ign. Witkiewicza lansuję: ze słów „żargon" i „argot" (po francusku: gwara miejska). Jest to naturalne, jeżeli powieściopisarz dla scharakteryzowania środowiska używa jego właściwej mowy w ustach osób przedstawianych; i jest to nawet artystycznie pożądane, jeśli coś z tej mowy przechodzi w jego własny język, język opowiadacza, bo w ten sposób całość opowieści zostaje językowo ustylizowana; ale z tem drugiem należy być bardzo ostrożnym i umiarkowanym z paru względów. Raz dlatego, że na surowo podany język środowiska odosobnionego może być i dość niezrozumiały i zamało estetyczny — przykładem rażącym jest tu dla mnie, i nietylko dla mnie, Marcyna Kędziory; powtóre dlatego, że jeśli autor prowadzi nas w środowiska, nie mówię: ludowe, ale wulgarne, i stamtąd przejmuje do swego własnego, czyli literackiego języka, styl i wyrażenia wulgarne, to grozi to poniekąd propagandą wulgaryzmów przez literaturę—(a język wulgarny może stać się treningiem do obyczaju wulgarnego) — tu przykładem przez p. Rogowicza przełożona powieść Céline'a; i wreszcie, com już w rzeczonej dyskusji poruszył, taka asymilacja języka literackiego do języka środowiska przedstawianego, może być w pewnych wypadkach narodowo niepożądaną; tu przytaczam powieść Gojawiczyńskiej ze Śląska Katowickiego, p.t. Ziemia Elżbiety, pisaną tamtejszym przykrym żargotem małomieszczańskim, przesiąkniętym niemczyzną; można i z tego materjału zrobić dzieło sztuki językowej —jak to właśnie Gojawiczyńska uczyniła, ale być tam i słyszeć, jak się wyraża starsze pokolenie, a potem usłyszeć dzieci, które już w szkole polskiej uczą się dobrze po polsku— i już nie ma się żadnej wątpliwości, który język zasługuje na poparcie, który na tępienie, tak ze względu politycznie jak i kulturalnie-narodowego. Są więc żargoty, gwary miejskie, gwary środowiskowe, nie zasługujące wcale na awans literacki, i te powinny być conajwyżej używane dla charakterystyki osób i środowisk przedstawianych [4]), a jako język własny autora tylko w sposób jaknajbardziej oględny; i są gwary wiejskie, które, i ze względu na rodzaj środowiska, ze względu na ich stosunkową czystość i rdzenność, lub szerzej (zróbmy tę koncesję): słowiańskość, uprawnione są jako język literacki (własny) autorów — z tą przestrogą, iż autor, który takiej gwary lokalnej użyje na surowo, narazi się na to, że nie będzie dostatecznie zrozumiałym, więc i pożądanym przez czytelników, że język ten, jak wszelka wogóle surowizna w dziele sztuki, nie będzie działał estetycznie korzystnie. Polszczyzna literacka i gwara muszą do siebie zbliżyć się i jakoś sharmonizować język warstwy wykształconej, tej, która jest centralnem środowiskiem narodowem, z językiem tego odosobnionego środowiska lokalnego, jakiem jest przedstawiana w danym utworze okolica wiejska [5]). Skoro zaś idzie o literaturę dla

---

[2]) Gwara a utwór literacki, lipiec, sierpień 1936.

[3]) W Pamiętniku Świętokrzyskim, na str. 138 art. o korespondencji Dygasińskiego z Witkiewiczem.

[4]) Np, Marjan Czuchnowski używa, ale nie od siebie, gwary przestępców w powieści więziennej Cynk (1937) (ze słowniczkiem) albo, podobnież, M. Kryszand, gwary „batjarów" lwowskich w powieści Akademja urwipołcia (1936) i t. p.; nie jest to takie rewelacyjnie współczesne, np. już Kraszewski w Chacie za wsią używał całych zdań po cygańsku, albo Wiktor Hugo w swym wielkim reportażu pt. Nędznicy, nie wiem czy z powodzeniem, naśladował mowę paryskich „gawroszów" i inne gwary środowiskowe.

[5]) Interesujące są na ten temat uwagi o języku Orkana u Budzyka w art. cyt.

ludu, to należy z góry sobie uświadomić, czy się pisze dla ludu całej Polski, czy dla ludu wybranej ziemicy (regjonu). Jeśli dla całej Polski — to polszczyzną literacką — z tem, że zależnie od talentu i temperamentu pisarza, jego język może być — przepraszam za te barbaryzmy—„ludowizowany" ewnt. „gwaryzowany", byle zrozumiale i bezpretensjonalnie; tak może pisać tylko pisarz, który albo wyrósł w środowisku ludowym, albo się z niem głęboko zżył, tak pisze np. Cierniak; u kogoś innego to byłoby „ceperstwo"., Jeśli pisze się specjalnie dla jednego regjonu— to oczywiście wolno używać języka mniej gdzieindziej zrozumiałego. Ale teraz jawi się dalsze pytanie: Czy podtrzymywać gwary? i wogóle gwarę, w sensie języka chłopów? Sądzę, że tak, ale to nie jest postulat oczywisty. Tę kwestję należy rozważyć, na szerszem ją stawjając tle zagadnień.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

HISTORIA I POWIEŚCI HISTORYCZNE

OD PEWNEGO czasu zaczynają się coraz częściej pojawiać w naszej literaturze powieści, których treść zaczerpnięta została z historii. Bez wątpienia jest to objaw wysoce dodatni, już to przede wszystkim dlatego, że jak Francuz stał się synonimem nieuka-geografa, grozić nam poczyna smutna sława nieuków w zakresie historii. I to nam, Polakom, spośród których wyszły tak wielkie umysły historyczne, że wymienię tylko Balzera z jego „geneologią Piastów", Kutrzebę, Konecznego, Szajnochę, Smolkę („Mieszko Stary i jego wiek"), Wojciechowskiego („Chrobacje", „O Piaście i o pieście") Piekosińskiego i in.

Nie mamy własnej historii. A raczej „przypięliśmy" się do pewnej epoki i „wałkujemy" ją tam i napowrót od wielu już lat, tak jakby nic więcej w dziejach naszych nie było godnego uwagi. — Gdyby ktoś, patrząc z zewnątrz chciał wyrazić się o Polakach złośliwie, niewątpliwie oskarżyłby ich o pewien kompleks — kompleks powstaniowy. Rok 1831, rok 1863, rok 1914. I z powrotem 1914, 1863, 1831. Sądzę, że niema dziś człowieka, któryby wobec tych trzech dat nie schylił głowy z uznaniem. Lecz, bądź co bądź, są to daty o zabarwieniu raczej tragicznym a w najlepszym razie heroiczno-tragicznym. Natomiast w naszej historii roi się poprostu od dat i wspomnień, noszących zabarwienie zdecydowanie heroiczne, heroiczne bez żadnej tragicznej domieszki, heroiczne, a w swym heroizmie optymistyczne, podnoszące na duchu. — Stoimy wobec przyszłości heroicznej — bo tylko heroizm dziejów wykuwa żywą przyszłość narodu. W takim momencie, szukając w historii zdarzeń, z których potrafilibyśmy czerpać siły i naukę, powinniśmy sięgać do chwil bliskich nam duchem i kształtem.

Dobrze się więc stało, że w ciągu ostatnich kilku lat pojawiły się powieści historyczne, biorące na koniec zdecydowany rozbrat z epoką powstaniową a przenoszące swoich bohaterów w inne zupełnie czasy. — Mam tu na myśli dwie pierwsze części trylogii Kossak-Szczuckiej, „Czerwone tarcze" Iwaszkiewicza, „Zelazną koronę" Malewskiej i „Aecjusza, ostatniego Rzymianina" Parnickiego.

Wymienione wyżej powieści reprezentują pod względem treści i formy dwa a właściwie trzy odrębne typy. O ile książki Kossak-Szczuckiej i Iwaszkiewicza są powieściami *„pur sang"*, o tyle książki Malewskiej i Parnickiego reprezentują — dość modny ostatnimi czasy — typ powieści biograficznej, *„vie romancée"*. Natomiast jeżeli chodzi o formę, „konserwatystką" okazuje się jedynie Kossak-Szczucka, podtrzymując pełną archaiczność stylu ów t. zw. często w kołach literackich styl „sienkiewiczowski"; u Iwaszkiewicza spotykamy się z próbą całkowitej modernizacji, Malewska i Parnicki przeskakuja ponad tą trudnością, używając języka częściowo zupełnie współczesnego, częściowo zlekka zarchaizowanego.

Archaizacja języka w powieści często napotyka na rozmaite zarzuty, dotyczące jego prawdziwości. Zarzuty te są całkowicie nieistotne. Nie może być mowy ani o korzystaniu z — *nota bene* — zupełnie nam nieznanego — języka XI czy XII wieku — ale o próbach staropolszczyzny według wzorów przekładu Biblii Wujka i pism Skargi. — Efektem, który pisarz archazujący chce osiągnąć, jest pewne „oderwanie się" od współczesności. Osobiście będąc raczej zwolennikiem archaizacji, jestem zdania, że w ten sposób, oderwawszy się od współczesności w dziedzinie formy, tym ostrzej wykazuje się zbieżności i analogie w życiu. Natomiast, wprowadzając pojęcie współczesne, raz musimy zrezygnować prawie zupełnie z dialogów, dwa — dopasowujemy epokę do dzisiejszego typu człowieka, zamiast odwrotnie. Człowiek w dziejach nie ulega zmianie, ale każda epoka wytwarza swój typ naczelny. Tymczasem Henryk Sandomierski u Iwaszkiewicza nie jest za grosz człowiekiem średniowiecznym — grzeszącym raczej popędliwością i przerostem arbitralności — ale niezdecydowanym Kordjanem, typem charakterystycznym dla okresu powstaniowego.

Jest rzeczą zastanawiającą, że tylko Iwaszkiewicz bierze za temat swej książki dzieje Polski. Kossak-Szczucka maluje szeroki i barwny obraz pierwszej krucjaty, wklejając weń jedynie mało znaczący fragment dziejów polskich i polskich bohaterów, braci Strzegonia (czy nie raczej Strzegomia?). Parnicki ucieka w epokę narodzin średniowiecza, Malewska zastanawia się nad dziejami Karola V. Dziwi nas to i niepokoi. Stąd ta idiosynkrazja do dziejów własnego narodu?

Kossak-Szczucka ma w swoim dorobku literackim kilka dobrych, historycznych powieści, z dziejów ojczystych — zwrócę tylko uwagę na najlepszą z nich, na „Legnickie Pole". Dzięki pilnym studiom zapragnęła stworzyć obraz znacznie obszerniejszy, stanowiący w swoim rodzaju przekrój i syntezę średniowiecza. Czy jej się to udało? Zdania są sprzeczne. Niżej podpisany, zaraz po ukazaniu się książki zwracał uwagę („Młodzież Katolicka" czerwiec 1936 r.) na to, że skąpany w błocie obraz pierwszych krzyżowców nie odpowiada pojęciu, jakie zdołaliśmy sobie wyrobić o ludziach średniowiecza, że autorka, nie żałując ciemnych barw, nie zneutralizowała ich niczym, pomimo, iż miała do tego wszelkie dane, że wreszcie atmosfera „Krzyżowców" uwypukla te wszystkie ujemne strony ze szkodą dla jaśniejszych. W dalszym ciągu tych rozważań począłem się zastana-

wiać nad tym, czy powieść jest dodatnią czy ujemną pozycją w bilansie dorobku twórczości katolickiej. — I wtedy, rzekł mi powien ksiądz: „Pan ma wątpliwość czy katolicyzm Szczuckiej jest dobrym katolicyzmem? Ależ ona jest — jak to mówią — *plus catholique que le pape*. U niej nie człowiek działa lecz Bóg *in persona*!". I to właśnie zdanie utwierdziło mnie w moim przekonaniu, że tej — doskonałej skąd inąd — książce czegoś brak. Czego? Brak poczucia wiary w wartość człowieka i w to, że człowiek własną pracą zdoła zbliżyć się do zwycięstwa. Przekonanie, że łaski nie można sobie wywalczyć, ale jedni ją dostają bez zasług, innym zas bywa odmówiona.

Inaczej u Iwaszkiewicza. — Tu znowu człowiek jest religijnie samowystarczalny, obywa się doskonale bez Boga. — W świecie wierzących hamletyzującemu Henrykowi trudno jest żyć, jego marzenia odrywają się coraz bardziej od rzeczywistości, by się we własnej pustce zatracić. Katolicyzm — u powieściopisarza — reprezentuje twarde, „zwierzęce" życie, łamiące w zetknięciu kruche i subtelne natury takie jak Henryk. Syn Krzywoustego jest buntownikiem walczącym, bez nadziei zwycięstwa, z takim właśnie życiem. U Kossak - Szczuckiej, odwrotnie, życie religijne chroni się w krainę marzeń a zaprzeczeniem wszelkiej religijności stają się uczynki życia codziennego. Religia w „Krzyżowcach" przeczy życiu, religia w „Czerwonych tarczach" pogłębia niedolę życia...

Oba założenia są błędne. Religia katolicka nie przeciwstawia się życiu, ale je sobą przepaja. Zuchwałością jest twierdzić, że stanowiąc jego integralną część, wpływa na coraz większe jego spętanie. Ktoś kto by tak twierdził, stałby równie daleko od znajomości istoty religii jak i od znajomości powszechnie dających się zaobserwować faktów. Religia, tkwiąc w życiu jest jego elementem twórczym, zmuszając go do nieprzerwanego pasma czynów, stanowi najwyższe źródło dynamiki życia.

Najbliższym może właściwego ujęcia był Parnicki — lecz w rezultacie najdalej od należytego rozwiązania odszedł. Szczucka i Iwaszkiewicz rozumieli — mimo wszystko — społeczny charakter katolicyzmu. Odtworzyli go błędnie, ale starali się przynajmniej go otworzyć. U Parnickiego religia jest tylko religią. Tym czym mógł być buddaizm, mahometanizm, starożytna wiara rzymska... Ani krzty zrozumienia dla życiokształtnej działalności religii katolickiej. Dwie rzeki: jedna religia, drugie życie—nie mające ze sobą żadnego punktu stycznego.

O książce Malewskiej trudno jest mówić pod tym kątem patrzenia, gdyż ogranicza się ona do nikłego wątku wydarzeń historycznych, nie siląc się na głębsze podejście do sprawy.

Średniowiecze nie jest ostatecznie dla nas „ziemią nieznaną". Szczególnie dziś, gdy przez dziwną zbieżność w ewolucji dziejowej, stoimy jakoby na progu nowego średniowiecza. Charakter średniowiecza określa się zwykle terminem teocentryzmu, Teocentryzm to nie tylko wprowadzenie Boga w życie, ale też kierowanie ku Niemu wszystkich strumieni życia. Gdyby życie było zaprzeczeniem religii — religia musiała by upaść, jak upadł manicheizm i jansenizm — gdyby religia zaciemniała tylko życie — skąd by się wzięły te wzloty dusz ku Bogu, wzloty w które obfituje średniowiecze, a których wyrazem jest choćby katedra średniowieczna z jej niezmierną ilością ozdób — dzieł nieznanych pracowników ku chwale Bożej?

Gdzież więc leży źródło tego nieporozumienia? Czy nie w zbyt wielkiem zmodernizowaniu opisywanych czasów? Bo jednak zarówno Kossak-Szczucka z całą swoją archaizacją, jak i „reformator" Iwaszkiewicz są ludźmi rozumującymi kategoriami współczesności, I tylko współczesności.— Rozumują kategoriami o podłożu antropocentrycznym. Stąd średniowiecze u nich jest tylko barwną szatą, w którą się ubrał człowiek współczesny. Lecz ta szata nie przerobi go na człowieka średniowiecza.

Chciałbym z tych dwóch spostrzeżeń, które przed chwilą zrobiłem, dotyczących unikania tematów polskich i niemożności dotarcia do prawdziwej postawy człowieka w średniowieczu, wyciągnąć pewien wspólny dla obu spostrzeżeń wniosek. Wspomniałem już o nim apriorystycznie na początku artykułu. Chodzi mi mianowicie o ten brak wiadomości historycznych. Cóż stąd, że posiadamy i posiadaliśmy historyków przynoszących swą uczonością zaszczyt Narodowi, jeżeli ich książek nikt nie czyta? Cóż stąd, że mamy dawne kroniki, kiedy do nich człowiek nie ma dostępu? Gall został szczęśliwie wydany w przekładzie (zresztą doskonałym) i w wydaniu popularnym, każdemu dostępnym? Lecz przekładu Kadłubka nie ma wogóle na rynku księgarskim. To samo Dytmara. O Dzierzbie i innych kronikach ani słychu. Dzieła naszych historyków znaleźć można tylko w antykwarniach i to na wagę złota. Autor-literat bierze dane z trzecich, czwartych rąk, od rozmaitych „popularyzatorów", z czego wynikają rozmaite *qui pro quo*. O jednem takim nieporozumieniu napiszę przy sposobności.

Nie mamy o historii własnego Narodu żadnego pojęcia. Patrzymy na nią bezkrytycznie przez pryzmat podręczników szkolnych, ograniczających się do podania pewnych błahych faktów politycznych. Dlaczegóż żadnego artysty nie skusiła postać Bolesława Wielkiego którego przydomek ograniczono bezmyślnie w podręcznikach do przydomku Chrobrego? Na przestrzeni całych dziejów Polski jest to przecież sylwetka na pewno najciekawsza żołnierze, polityka, władcy i chrześcijanina którego niektórzy żywotopisarze świętych (Marcin Baronius, Florian Jaroszewicz) zaliczali do grona błogosławionych. Któż wie o siostrze Mieszka I Adelajdzie „Białej Knehini" kobiecie z takim temperamentem, że umiała uderzeniem harapa zabić człowieka a potem odegrała na Węgrzeeh taką rolę jaką u nas Dobrawka i była matką św. Stefana? Czyż żadnego autora "*vies romancées*" wielkich kobiet nie zainteresowała by go postać Sigridy Dumnej, siostry Bolesława Wielkiego, żony początkowo Erika Sinozębnego, króla Szwecji i Danii, potem porwanej siłą przez swego narzeczonego Olafa Trygwessona, króla norweskiego, a wreszcie żony Swena Ottona Widłobrodego, króla Danii i matki Kanuta Wielkiego? Kto wie cośkolwiek o Bolesławie II zapomnianym starszym synu Mieszka II, pozbawionym życia za okrucieństwo? Czy święcąc rok rocznie dnie wybuchu wszystkich powstań wspomni się choć raz na parę lat o wspaniałym zwycięstwie Mieszka I i Cydybura pod Cydynem?

Rzuciłem garść przykładów. Lecz to są tylko przykłady. Żywy nurt prawdziwej historii jest znacznie głębszy i obfituje w większą ich ilość. Dotarłszy doń, dociera się do prawdziwego życia średniowiecza. I wtedy niema nieporozumień i błędnych interpretacyj. Wtedy odkrywa się człowieka.

JAN DOBRACZYŃSKI

NA WIDOWNI

Moja legenda o Kościuszce.

W AKTACH kościoła parafialnego w Solurze w Szwajcarii istnieje dokument, zaczynający się od słów:

Anno 1817 die 15 Octobris mortuus est Excellentissimus ae Generosissimus Dominus THADDAEUS KOŚCIUSZKO ultimus Reipublicae Poloniae belli dux...

W październiku r. b. upłynęło 120 lat od tamtej daty. Stulecia nie święciliśmy należycie. Byliśmy zajęci wojuą, Widziałem jednak wtedy obchód kościuszkowski w Petersburgu — uczcił jego pamięć manifestacyjnie oddział wojska polskiego ze sztandarem, straconym pod Maciejowicami... Pod wrażeniem tego obchodu, improwizowanego w niesamowitych warunkach rewolucji rosyjskiej, pisałem fejleton w „Sprawie Polskiej", jeden z ostatnich (21.X.1917), wkrótce bowiem trzeba było pismo zamknąć.

Może nikt nie weźmie mi za złe, że powtórzę dzisiaj główniejsze z tego fejletonu ustępy. W ten sposób uczczę też wspomnieniem dwudziestą rocznicę tego krytycznego w naszych dziejach momentu. Pisałem wtedy:

— — — — — — — — — — — —

W glorii wielkich ludzi myśl szuka przede wszystkim bohaterstwa, w bohaterstwie — charakteru, w charakterze—daru miłości. Stąd już krok do świętości. Wyobraźnia ludu polskiego mieści Kościuszkę w niebiosach. („Patrz, Kościuszko, na nas z nieba"). Im żywotniejszy jest naród, tym tkliwsze ma wspomnienia, tym żywszą wdzięczność dla bohaterów. Wogóle w przeszłość swoją zdążamy za przewodem uczuć tkliwych, jak do swej kolebki. Pamięć nasza uczuciowa przechowuje z przeszłości tylko wspomnienia dobrego. Gdyby mogło być inaczej, gdyby pamięć zła miała równe szanse rozrostu, co pamięć dobrego, udziałem dusz byłaby obojętność dla przeszłości.

Tkliwości uczuć historycznych odpowiada optymizm co do przyszłości, jak kąt uderzenia odpowiada w fizyce kątowi odbicia. Historyczności ducha odpowiada bohaterstwo, jego miłości—wiara. Bohaterską jest dusza wierząca, wiarę zaś ma tylko dusza miłująca. Są to rzeczy nierozdzielne. Można rzec, że miłość jest tym w stosunku do przeszłości, czym jest wiara względem przyszłości.

Bohater kładzie życie w ofierze z naturalnego popędu ducha. Miłość do życia, poza nim będącego, przeważa umiłowanie życia własnego. Ona daje mu wiedzę czującą, że to życie jego krwią okupione, przetrwa go i będzie wieczne jak wieczne są źródła jego miłości. Ta wiedza czująca jest jego wiarą, źródłem jego bohaterstwa i znowu źródłem miłości dla potomnych. Tak toczy się rotacyjnie na osi serca ludzkiego duchowość pokoleń, nieustanna wola życia.

Nasz kult dla Kościuszki nie jest wypłatą wdzięczności w stosunku do różnicy na wadze, na którąby się kładło z jednej strony Racławice, z drugiej Maciejowice, lecz jest żywotną potrzebą wielbienia charakteru Kościuszki, jego daru miłości, jego wiary, jego woli, wyżyny moralnej jego czynu.

— — — — — — — — — — — —

Zdarzyło mi się w życiu, że mogłem dotykać się do osobistych pamiątek po Kościuszce. Było to w Rapperswilu w latach 1892—1894, gdzie pracowaliśmy razem z Żeromskim Stefanem, jako bibliotekarze. Był w muzeum tym pokój osobny Kościuszkowski. Stało tam łóżko Kościuszki, w gablotce zaś było wiele drobiazgów, ofiarowanych przez ową rodzinę Zeltnerów, na których rękach on zmarł. Niektóre z nich były przez starca własną ręką po tokarsku toczone; były rysunki jego, autografy. W rogu wisiało siodło, pewno z tego konia, który stawał przed żebrakami, według legendy szwajcarskiej. Tu znowu stało gipsowe popiersie Zeltnera; manekin, wyobrażający krakusa z kosą, strzegł wejścia. Ściany zajęte były całkowicie portretami: Naczelnika, Waszyngtona, Franklina, scenami bitew, mnóstwem sztychów, fotografij. Były tam rzeczy wartościowe; między nimi portret Kościuszki przez Reinagla, bitwa Racławicka Casanowy. Istnieje drukowany katalog tych zbiorów. Ten pokój zbliżał mnie o jakie pół drogi do Kościuszki żywego. Ale trzeba to przyznać wszelkim muzeom pamiątek — mają one w sobie coś z cmentarza, kładą na przeszłości krepę żałoby, która załamuje wzrok historyczny w uczuciu dewocyjnie patrjotycznym pod kątem martyrologii narodowej.

Dla nas, którzyśmy tu przybyli niemal wprost z ławy szkolnej rosyjskiej, którzy słyszeliśmy imię Kościuszki tylko z tajemnej, mówionej szeptem tradycji, a do książki historycznej dopadaliśmy konspiracyjnie w kółkach uniwersyteckich, widok tego ilustrowanego grobowca dumy i wielkości polskiej był rewelacyjny, ale zarazem przygniatał wyobraźnię młodzieńczą o Polsce, która pod wodzą Kościuszki pałała żądzą walki i wolności. Stary Zygmunt Miłkowski, skarbnica żywej tradycji rodzimej z czasów Kościuszki, od czasu do czasu przybywał do nas z Genewy i ożywiał pamiątki przedziwnymi narracjami.

Rychło spostrzegłem, pracując w bibliotece, jak uboga jest literatura o Kościuszce. W zimie 1892 r. przedstawiłem kuratorowi zakładu Henrykowi Bukowskiemu, gdy wpadł do nas ze Sztokholmu, że obowiązkiem jest Muzeum Rapperswilskiego wydanie monografii o Kościuszce na uczczenie setnej rocznicy 1794 r., która za rok nadejdzie. Któż wyda dzieło godne tej chwili? Na Akademię temat zbyt świeży, księgarz nie podoła. Tylko w Szwajcarii, gdzie są takie zbiory, gdzie w archiwum tyle materiału rękopiśmiennego w pamiętnikach i listach, można wydać takie dzieło. Podsunąłem nazwisko Tadeusza Korzona. Bukowski schwycił się tej myśli oburącz. Zwłaszcza podobała mu się idea zaproszenia do pracy Korzona, również jak on Litwina, kolegi szkolnego, przyjaciela. Porozumienie z dość ciężkim zarządem zakładu było krótkie i łatwe. Uprościł je Bukowski, biorąc koszta wydawnictwa na siebie. Wnet przyszła od Korzona aprobata. Autor „Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta" jął się niezwłocznie pracy, wielce się do niej zapalając. Przede wszystkim poruszył prywatne archiwa na Litwie, gdzie zdobył cenne materiały do genealogii rodu Kościuszków Siechnowickich.

Z gotowymi już rozdziałami początkowymi zjechał Korzon na wiosnę 1893 r. do Rapperswilu i tu został na całe lato. Stałem się jego sekretarzem, takim pomocnikiem, jak ten przy malarzu wielkiego płótna, który farby rozciera. W jednym

z bocznych pokojów biblioteki, otoczony zwałami ksiąg i papierów pracował Korzon; jednocześnie u Anczyca w Krakowie odbywał się druk wielkiego dzieła, gdzieindziej zaś robiono klisze ilustracji i map. Między korespondencją, korektą, wypisami i rozmowami z Korzonem na tematy z przed stulecia schodziło to piękne w życiu lato.

Dopiero w tej atmosferze na właściwe miejsce ram obrazu zeszły martwe pamiątki a z pokoju Kościuszki, jakby się ściana rozwarła, otworzył się widok na stulecie z postacią żywego człowieka bohaterskiego na pierwszym planie, dającą całemu obrazowi światło idei historycznej.

Talent odtwórczy znakomitego historyka, w którym, jak się wtedy przekonałem, pali się wizja poetycka, a nauka jest tylko rusztem, który z płomienia robi umiejętny, metodyczny użytek, przeniósł nas z grobowca w środek życia realnego.

— — — — — — — — — — — —

Po dwudziestu kilku latach spotykam się teraz z Kościuszką znowu na obczyźnie, choć z innej strony świata polskiego, znowu wśród emigracji, ale w jakże odmiennych warunkach historycznych...

Czym mógł spodziewać się przed laty w uniwersytecie petersburskim będąc, że w r. 1917 będziemy tutaj publicznie z całą jawnością i powagą święcili stulecie śmierci Kościuszki?

Dzisiaj właśnie 1 (14) października byłem na nabożeństwie w kaplicy Maltańskiej (przy korpusie paziów), na solennem nabożeństwie, gdzie ks. biskup Cieplak wygłosił podniosłe kazanie o Kościuszce. Od stu lat nie zdarzyło się nic podobnego w obrębie państwa rosyjskiego. Istnieje piękna rzadkość bibliograficzna: „Zbiór mów i opisów nabożeństw żałobnych, odprawianych w kościołach na Litwie z powodu śmierci ś. p. Tadeusza Kościuszki w r. 1817” (Wilno, u Zawadzkiego 1818). Obchody te odrodziły umysłowość polską na Litwie, dając początek ruchowi płodnemu na wszystkich polach twórczości.

Przerywał się potem w umysłach oświeconych prąd dziejowy, żywy; oświetlaliśmy życie, gdzie wolno było, zimnem swiatłem obchodów, odświętną elektrycznością nieraz z wypożyczanego motoru jak w Galicji. A my w Królestwie żyliśmy w pokoleniu popowstaniowym, całkowicie w ciemnościach historycznych.

Z głębin szafy wydobywało się od święta dokumenty rodzinne dla dzieci niezrozumiałe. Były tam dokumenty dziadka, młodszego kolegi Tadeusza Kościuszki ze Szkoły Rycerskiej.

Znalazły się ze mną tutaj, w papierach osobistych, zabranych do walizki. Leżą teraz w bezpośredniej styczności z listami prawnuka, pisanymi z korpusu polskiego. Zyskały przez to niezmiernie na jasności. Zbliżyła mnie do tamtych czasów nie legenda, nie dotykanie pamiątek, nie pośrednictwo historyka uczonego, lecz — rzeczywistość dziejowa i osobista. Dziad ustępował z resztek wojska polskiego, jego prawnuk wchodzi do zawiązku nowego wojska. Pradziad kończył na Berezynie, prawnuk od niej zaczyna. Czy będzie Gdańsk oblegał?

W wysokiej temperaturze czasu wojny, skrapla się psychika narodu w czyn. Bez filozofii, bez scenariusza dziejowego, bez zbytniej symboliki, wiedziony instynktem, podąża młodzieniec do szeregów armii polskiej, jakby ona nigdy nie przestawała istnieć.

Ulicami Piotrogrodu, gdzie przed laty więziony był Kościuszko, maszeruje oddział polski z orzełkami na czapkach, a nad nim powiewa sztandar Kościuszkowski spod Maciejowic. Ten sam, krwią zmazany, podjęty z tej ziemi, na której padł raniony i zwyciężony Kościuszko. Użyczony z muzeum trofeów Suworowskich, na podwórzu Pawła i Katarzyny, pod dźwięki mazurka Dąbrowskiego powiewa czerwienią już nie smutne wspomnienie muzealne, ale symbol krwi, w żyłach tętniącej...

Jest w tym dziwnie tkliwym a męskim obchodzie Kościuszkowskim r. 1917 święto podwójne: święci się i miłość przeszłości — i wiara w przyszłość.

— — — — — — — — — — — —

Tak wygląda moja osobista legenda o Kościuszce. Wiem, że na doniosłość jego roli politycznej rzuciła dzisiaj cień rewizja historyczna (prof. Skałkowskiego). Ale legenda przezwycięży ten cień, bo poczęła się w potrzebie serca wielbienia szlachetności. Była to indywidualność a zarazem postać stylowa epoki. Zasługą jego jest samo to, że pamięć o nim przez 120 lat odkarmiała nasze uczucia patriotyczne.

Nie zginie w potomności, kto jej przekazał testamentem—miłość.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE.

FASZYSTOWSKIE WYCHOWANIE MŁODZIEŻY [1]

ORLA LOTÓW potęga młodości jest istotą faszyzmu, tego ruchu, którego hymn „Giovinezza” tętni dynamiczną młodością. Młodzież i jej los we Włoszech faszystowskich jest bodaj, dzięki osobistemu docenianiu tej kwestii przez Mussoliniego, jedną z naczelnych trosk kierownictwa państwa faszystowskiego.

Wychowanie młodzieży, stworzenie nowego typu Włocha ery faszystowskiej, który, jak się Duce wyraził, byłby dla naszego wieku tem, czem dla swej epoki był Włoch czasów Renesansu, lub starożytny Rzymianin — oto przesłanki, które stworzyły logiczny i całkowity system wychowania młodzieży, biorąc ją już w karby organizacyjne od 6-go roku życia.

Niemal jak w dawnych czasach, a przecież Mussolini nie kryje się wcale, iż sięga nawet w wychowaniu młodzieży do wzoru swych praojców rzymskich, dziecko od 6-go roku życia (mimowoli przypominają się np. słowiańskie postrzyżyny) przechodzi z rąk niewieścich pod władzę męską, w danym wypadku w postaci faszystowskiej organizacji wychowania młodzieży.

Faszyści nie postępują jednak tak dalece po „faszystowsku”, jak to czerwone żywioły malują. Na przynależność bowiem dziecka do organizacji

---

[1]) W tych dniach ma się ukazać w handlu księgarskim książka Stefana Niebudka, zawierająca szereg wrażeń z podróży po Włoszech p. t. „Z kraju czarnych koszul“. Autor udzielił nam do druku jeden rozdział, który tu podajemy.
Red.

wychowawczej *„Balilla"* musi być wyrażona zgoda rodziców. Orientują się twórcy nowej metody wychowawczej, co oznacza czynnik dobrowolności.

Nawrót do tradycji starorzymskich ujawnia się m. in. w przejęciu form organizacyjnych i nazw rzymskich.

„Balilla" i *„Avanguardia"* dzielą się, proszę przyjrzeć się nazwom, na manipuły, centurie, kohorty, legiony, które pod kierunkiem swych *„capomanipulo"*, czy *„centurione"* wdychają od wczesnych lat atmosferę dawnych zwycięskich legionów rzymskich.

Dzisiejszy system wychowawczy faszystów, dążący do fizycznego, duchowego i moralnego, podźwignięcia na wyżyny swej rasy, to nie swawolne igraszki i zabawy, ale świadomy, często prezycyjnie obmyślany i wykonywany plan szkolenia woli i dyscypliny, którego celem ostatecznym jest stworzenie nowych pokoleń włoskich — ludzi czynu.

Dzieło wychowania młodzieży, czujnie nadzorowane osobiście przez Mussoliniego, głównego autora nowych metod wychowawczych, powierzono dekretem Duce'go z 3-go kwietnia 1926 r. specjalnie w tym celu powołanej, dziś świetnie już rozwiniętej organizacji *„L'Opera Nazionale Balilla"*, obejmującej w swych szeregach dzieci od 6-go do 18 roku życia.

Nazwa *„Balilla"*, podobnie jak wszystkie instytucje w nowoczesnych Włoszech, ma znaczenie symboliczne i wywodzi się od legendarnego już chłopca genueńskiego, nazwiskiem Balilla, który w 1746 r. wywołał rewolucję przeciwko obcemu najeźdźcy kraju.

Tacy patronowie, przypomniani w nazwach związków, wychowują swym przykładem młodych faszystów.

Cała *„Balilla"* organizacyjnie dzieli się na organizacje dla chłopców: *„Balilla"* i *„Avanguardisti"*, oraz na organizacje dziewcząt, zgrupowanych w *„Piccole Italiane"* i *„Giovani Italiane"*.

Z kolei *„Balilla"* dzieli się: *„Figli della Lupa"* („Synowie Wilczycy" — oczko w głowie Mussoliniego), obejmując dzieci od 6 do 8 roku życia, *„Balilla Escurionisti"* od 8 do 12 roku, *„Balilla Moschettieri"* od 12 do 14 roku, zaś *„Avanguardisti"* dzielą się na: *„Avanguardisti Moschettieri"* od 14 do 16 roku i *„Avanguardisti Mitraglieri"* od 16 do 18 roku.

Są ponadto jeszcze specjalne grupy *„Balilli"* morsklej, lotniczej itd. Obecnie w dziele *„Balilla"* jest zorganizowanych ponad 5 milionów dzieci i młodzieży w około 1800 legionach, czyli kołach.

Za pomocą tych organizacji *„Balilla"* odświeżyła i ożywiła atmosferę szkoły średniej, podniosła poziom intelektualny, duchowy, zawodowy swych pupilów, którzy w licznych, doskonale urządzonych „Domach" i na jakże mnogich stadionach, z „Forum Mussoliniego" na czele, mieli i mają świetną sposobność do podciągania się w zwyż.

Obrazu wszechstronnej dbałości faszystów o solidne wychowanie młodzieży dopełni wyjątkowa wprost dbałość o pogłębienie czynnika religijnego wśród wychowanków, czego dowodem m. in. jest wiele mówiący fakt, iż w ciągu roku powiększono ilość kapelanów w związkach młodzieży z liczby 1425 do 1632, czyli o 207, którzy roztaczają opiekę duchowną nad młodem pokoleniem włoskiem.

Na każdy rok opracowany jest szczegółowy kalendarz zajęć *„Balilli"*. Słynna „Akademia Faszystowska", tworząca wraz z „Foro Mussolini" jedną całość, a utworzona w 1927 r., — swego rodzaju odpowiednik naszego C. I. W. F. jako najwyższy instytut wychowania fizycznego, czuwa nad kulturą młodzieży męskiej, tak jak znowu położona w uroczym Miasteczku Umbrii w Orvieto — *„Accademia Femminile Fascista di Educazione Fisica e Giovanile"* dba o wychowanie fizyczne nowoczesnej kobiety i przyszłej matki włoskiej.

Organizacje faszystowskie uczą dziewcząt zajęć praktycznych, odpowiadających właściwościom natury kobiecej.

Naturalnie formacje młodzieży są zależne od wszechwładnej partii faszystowskiej.

Trzeba podkreślić, iż w organizacji dzieła wychowania *„Balilla"* dużą rolę odegrał współpracownik Mussoliniego, Renato Ricci.

Po ukończeniu lat 18-stu młodzież włoska przechodzi z *„Balilli"* do organizacji *„Fasci Giovanilli de Combattimento"* (utworzonej 8 października 1930 r.), by po przeszkoleniu w o j s k o w y m i p o l i t y c z n y m móc zasilić szeregi partii i milicji. Do *„Fasci"* należy ponad milion 150 tysięcy członków.

Organizacja *„Fasci"*, mając niesłychanie odpowiedzialne zadanie opieki moralnej w najbardziej dla wieku młodzieńczego ważnym momencie kształtowania się myśli i poglądów, jest bezpośrednio zależna od partii.

Przynależność do *„Fasci"* stanowi pierwszy tytuł do szlachectwa moralnego dla nowoczesnego Włocha.

Przejście z *„Avanguardii"* do *„Fasci"* odbywa się, tak jak i przejście następnie z *„Fasci"* do Partii, wyjątkowo ceremonjalnie, podczas dorocznej uroczystości t. zw. *Leva Fascista*. Faszyści lubują się w wielkich okazałych uroczystościach, obchodzonych jednocześnie w całym kraju.

Młodzież akademicka cieszy się w państwie faszystowskim specjalnymi względami i jest zgrupowana w popularnym związku G. U. F., t. j. grupach uniwersyteckich faszystów, prowadzących także ożywioną akcję na międzynarodowym terenie akademickim (C. I. E.).

Jest rzeczą godną uwagi, iż młodzież akademicka zajmuje się ze specjalną gorliwością kwestiami kolonialnymi, które są zarówno przedmiotem studjów i propagandy, jak i ścisłej współpracy z Instytutem Kolonialnym. Temat kolonialny jest w wychowaniu młodzieży faszystowskiej uderzająco szeroko uwzględniony, zarówno w teorii, jak i w praktyce, przez częste organizowanie wycieczek do kolonii.

Wielką rewią sprawności fizycznej i duchowej oraz wartości moralnej młodzieży Włoch faszystowskich są doroczne igrzyska z dziedziny kultury, sztuki i sportu pod nazwą *„Littoriali"*, bardzo starannie i wszechstronnie przygotowane, a mające wykazać o ile nowe metody wychowawcze faszystów przyczyniły się do ambitnego dzieła stworzenia nowej generacji, twórczej i panującej.

Oprócz wspomnianych już instytucyj wychowawczych funkcjonują od 1935 r. we wszystkich większych ośrodkach miejskich (w stolicach prowincji) specjalne dwuletnie „Kursy wychowania politycznego", które są swoistymi „uniwersytetami politycznymi" dla młodzieży w wieku 23 — 28

lat. Zadaniem tych „Kursów“ jest przygotować młodzież do sztuki rządzenia przez pogłębienie znajomości życia politycznego, kultury politycznej i ducha faszystowskiego.

Szczegółów o przedstawionych powyżej kwestjach można się dowiedzieć z książki D. S. Piccoli „*L'Education Fasciste de la jeunesse en Italie*“ (wyd. „*Novissima Roma*“), na której głównie oparłem swe wiadomości.

„Przygotowuję młodzież do walki w życiu, ale także i do walki dla Narodu“ — powiedział Mussolini i jak widzimy, drogą konsekwentnej organizacji wychowania młodzieży kroczy pewnie ku przyszłości swego Narodu, wiedząc, iż ten tylko wielkość zapewnia Ojczyźnie, kto dba o przyszłe pokolenia“.

STEFAN NIEBUDEK

NAUKA i LITERATURA

BERNANOS

AUTOR publikacji, którą się tu zajmiemy [1]) analizuje powieści Bernanosa nie tyle pod kątem widzenia formy artystycznej oraz powieściowej konstrukcji—i środków dla osiągnięcia powyższego służących, co ze względu na zawartość treściową uważanych utworów i z uwagi na oblicze ideologiczne pisarza. Dlatego te właśnie a nie inne elementy zjawiska literackiego dość szczegółowo a z całym żarem osobistej wiary rozbiera.

Na wstępie zajmuje się zagadnieniem wartości pisarza dla sprawy katolicyzmu, aby wreszcie po pewnych wyjaśnieniach dojść do czystej formuły pisarza katolickiego, którego winna przyozdabiać całkowita zgodność życiowej praktyki z głoszonymi hasłami religijnymi a w twórczości—cechować w każdej sytuacji spojrzenie *sub specie aeternitatis.* Może więc on nawet malować najgorsze zbrodnie i najbardziej jaskrawe upadki, byle towarzyszyła temu jednocześnie ciągła pamięć o wiekuistej sprawiedliwości, biorącej rachubę z każdej myśli człowieczej, z każdego ludzkiego uczynku.

To ustalenie jest bardzo pożyteczne, gdyż przywykliśmy mylić—przeważnie mimochcąc—czytelników gazet, wskazując im nierzadko pisarza lub –książkę, nieraz poza tytułem i tradycyjnym bagażem imion i obrzędów nic wspólnego ze świętą sprawą nie mającą.

George Bernanos, ur. w 1889 r., pierwszą swą powieść, „*Sous le soleil de Satan*“ napisał w r. 1926 (tłum. na polski—„Pod słońcem szatana” — w r. 1928). Następne: „*L'imposture*“ w r. 1927, „*La joie*“ („Radość życia”, Krak. 1933), „*La grande peur des bienpensants*” w r. 1935, „*La crime*” („Zbrodnia”—W-wa 1936), a w r. 1936 „*Journal d'un curé de campagne*” („Pamiętnik wiejskiego proboszcza”—W-wa 1937). Prócz tego kilka nowel i artykuły po czasopismach.

Dorobek francuskiego pisarza nie jest więc duży ilościowo i raczej uderza zupełnie niespotykanymi gdzieindziej walorami bezpośrednio przekazywanego zjawiska życia wewnętrznego.

„Malarzem dusz” nazywa Dobraczyński Bernanosa, niepotrzebnie nawet zastrzegając się przed pomówieniem go o zwykłą w takich pochwałach grandilokwencję krytyka. Bowiem w tym, właściwie sformułowanym określeniu główny nacisk należy położyć na przedmiot—tworzywo pisarskie: duszę w stanie „czystym”, odbarwioną ze wszystkich emanacyj nerwowych skutego zdawałoby się na zawsze z wewnętrzną swą istotą ciała.

[1]) Jan Dobraczyński. „Bernanos powieściopisarz”. Nakładem Tow. Wiedzy Chrześc. Str. 81.

Tak pojęta dusza mniej miałaby może wspólnego z t. zw. jaźnią, naturą psycho-fizyczną człowieka etc., zbliża się zato pojęciowo do tego, co w okresie Młodej Polski za przewodem Przybyszewskiego zwano „nagą duszą” — jakkolwiek jest tutaj tylko *analogon,* nie wykluczające najbardziej zasadniczych różnic pierwotnych i późniejszych nabytków literackiego konwenansu. W każdym bądź razie widzimy w dziele Bernanosa jeśli nie gotowy preparat duszy to przynajmniej najprawidłowsze reakcje jej wnętrza na prowokacje ze strony wszechogarniającego układu moralnego. Będą to przede wszystkim ostre rysy grzechu, wydobyte na jaw w kontrastującym blasku świętości, czerpiące swoje demoniczne natchnienie w niszczycielskiej robocie szatana.

I otóż zdarcie maski hipokryzji, tak pospolitej w szarym tłumie ludzkim, dotknięcie wstydliwie przemilczanych pojawów duszy jako faktu to pierwszy etap walki z miernością, zwalanie wrosłego w krew ideału człowieka miernego *(l'homme médiocre).* Tak właśnie, wspomniawszy na nadprzyrodzone swoje powołanie, na niegasnący żywot duszy, czuć się wezwanym do heroicznego żywota, do pełnego nadziei—choć... *contra spem*—wytrwania — oto najbardziej energiczne sformułowanie tęsknot nowoczesnego, pionierskiego katolicyzmu francuskiego.

Tak pojęty heroizm o krok tylko graniczy z świętością.

Bernanos w swoich, wzorowanych na Ewangelii kreacjach świętych wyraźnie podkreśla ich anormalność w porównaniu ze zwyczajną przeciętnością potrzeb i pragnień ludzi. Stąd między innymi płynie początkowa obcość i wrogość otoczenia świętego, środowiska, co chętnie na karb nienormalności (asceza jako główny kamień obrazy w tej dziedzinie u pisarzy hołdujących teorii *libido*) kładzie cechy wybitne, przeczące poziomowi, ustalonemu dla stworzeń ludzkich, wpatrzonych wyłącznie w przyjemne i pożyteczne.

Święci, wiodący bez wytchnienia i bez pardonu walkę „z szatanem, światem i ciałem”, są w rzeczy samej żywem zaprzeczeniem strychulca mierności i ducha uprzejmego kompromisu. Gwałt, co w tych duszach Królestwo Boże cierpi, nie zbliża ich bynajmniej do nas.

Dlatego trudno wprost utylitarnie się cieszyć z rzekomego pokonania dystansu, z „uprzystępnienia” świętości czytelnikowi „Pod słońcem szatana”. A przecież... taki ks. Donissan—bez świetlistego krążka nad głową, człowiek nie wtłoczony w ramy hagiograficznego wizerunku z odległej legendy, bliższy jest każdemu, w niejednym obudzi nadzieję spotkania na drogach życia.

ST. J.

„PAPIEŻ Z GHETTA”

GERTRUDA Le Fort, pomimo francuskiego nazwiska Niemka. a przy szczerej żarliwości katolickiej gorąca głosicielka mesjańskiego powołania Rzeszy Niemieckiej, nie jest jeszcze w Polsce bardzo znana ze swych dzieł literackich.

Dopiero zwolna przecieka do nas wiadomość o tej największej dziś niewątpliwie pisarce niemieckiej. Ale trzeba przyznać, że te jej utwory, które zostały już udostępnione polskiej publiczności, przyoblekły w przekładzie naprawdę godną siebie szatę. Tyczy się to przede wszystkim jej najwspanialszego dzieła — natchnionych „Hymnów na cześć Kościoła” („*Hymnen an die Kirche*”, 1924), które spolszczyła Maria Winowska. Te jednakże dotąd rozsypane po pismach, nie doczekały się wydania książkowego. Wyszedł zaś w książkowym wydaniu przekład (i to bardzo dobry, pióra Jana Sztaudyngera) słynnej powieści Gertrudy Le Fort „Papież z Ghetta” (nakł. św. Wojciecha).

Jest to jedna z najciekawszych książek ostatnio wydanych; najciekawszych nietylko ze względu na tło, faktu-

rę, styl, ale i ze względu na refleksje głębsze, jakie wywołuje. Owe właśnie refleksje sprawiły zapewne, że znaczna część prasy przemilczała tę książkę—zdaje się—jako „antysemicką”. To nas nie dziwi; wiemy bowiem oddawna, że kto o żydach nie pisze w samych superlatywach i nie przedstawia ich jako aniołów w ludzkim ciele, bywa zaraz przezwany „antysemitą” (przepraszam: „antysemitnikiem”). Dziwić się można tylko jednemu krytykowi, a mianowicie czujnemu, bezstronnemu i bystremu sprawozdawcy „Rocznika literackiego“, że i on jakoś dzieło pisarki niemieckiej przeoczył. Jesteśmy pewni, że w roku przyszłym przeoczenie to powetuje dłuższą oceną niż ta, jaką zaszczycił kilka dzieł nieco mniejszego blasku.

„Papież z Ghetta” jest powieścią historyczną, ale sprawy w niej zawarte należą do tej historii, która uczy i przestrzega czasy dzisiejsze. Tytułowym bohaterem jest żyd, pochodzący z bankierskiej rodziny Pier Leoni zamieszkałej w Rzymie, który od dziecka wychowuje się według zasad religii chrześcijańskiej, by spełnić cel—powiedzmy—„wallenrodyczny”: rozedrzeć chrześcijaństwo. Cel swój osiąga... częściowo. Zdobywa władzę papieską—ale tylko jako antypapież i tylko na krótką chwilę. Wywołana przezeń schizma nie zadaje spodziewanego ciosu Kościołowi, owszem wywołuje odruch zbawienny. Pogodzenie się władców chrześcijańskich, wprowadzenie prawowitego papieża Inocentego do Rzymu unicestwiły zamysły Anakleta Pier Leoni. Izrael nie zatriumfował nad stolicą papiestwa, nie zapanował nad światem.

Autorka z niebywałą sugestywnością nakreśliła obraz świata żydowskiego, jego pragnień, dążeń, intryg, tęsknot i cierpień. Ukazała kilka postaci tchnących prawdziwie wielką grozą tragiczną; taką jest przede wszystkim porzucona przez męża Miriam, główna wyrazicielka izraelskiej ideologii; taką jest mała ślepa Trofea, która bezwiednie ukochała święte Bambino z Ara Coeli; takim wreszcie jest i stary Petrus Leonis, który dla interesu przyjął chrześcijaństwo, a na łożu śmierci w agonii bolesnej odsłania swą duszę żydowską...

Rysunek postaci idzie w parze z umiejętnością malowania starć silnych i gwałtownych. Ma tu autorka epicką siłę i rozmach. Ażeby zaś nadać utworowi koloryt epoki, posłużyła się formą starej kroniki, w której raz po raz komu innemu niby głos oddaje. W tej jakoby fragmentaryczności jest jednakże konstrukcja jednolita i konsekwentna. (J. B—r)

NOWE KSIĄŻKI

Kulikowski Wilhelm. Śmierć Żółkiewskiego. Noc z 6 na 7 października 1620 r. Wyd. II. Z przedmową Stanisława Zielińskiego. Pamiętnik Kresowy. Zesz. III. Warsz. 1937. Str. XVIII i 53. Skład gł. w Związku Organizacji Kres. „Polonia“. Kredytowa 16 m. 15 (Cena 1 zł. w wyd. popul. 50 gr.)

Niebudek Stefan. W kraju czarnych koszul. Z przedm. K. M. Morawskiego. Częstochowa 1037. Ant. Gmachowski. Str. 104.

Pro Christo, październik.

Bulletin de l'Union des sociétés savantes polonaises de Leopol., 1932—34. Lwów. Str. 180.

Szober St. Słownik ortoepiczny. Str. 481 — 661 (Zakończenie). Warsz. M. Arct.

Rudnicka-Bechczyc Maria. Malerza Raweńskie go owieczek dwanaście. Z linorytami Tadeusza Cieślewskiego (syna). Warszawa 1937. Dom Książki Polskiej. (Wyd. luks.)

Trentowski Bronisław. Listy (1836—1869). Zebrał i do druku przygotował Stanisław Pigoń. Kraków 1937. Nakład Pol. Akademii Um. Str. VIII i 557.

Bączkowski Włodz. Grunwald czy Pilawce? Warsz. 1938. „M. Pol.”. Str. 208.

Sobański Marian. Teatr Polski na Śląsku. 1922—1927. Katowice 1937. Tow. Prz. Teatru Pol. Str. 204.

TEATR

„ŻYCIE SNEM” i „CZARNA DAMA Z SONETÓW”

KAŻDA zmiana personalna w teatrach T. K. K. T. budzi w obecnej sytuacji zainteresowanie i nadzieje. A nuż się coś zmieni? Nawet postawienie na czele Horzycy wprowadza ten nastrój oczekiwania; zmiana na gorsze jest mało prawdopodobna. Inauguracyjna premiera sezonu nastraja raczej optymistycznie. Jest ona dowodem niewątpliwej śmiałości i ambitnej postawy nowego dyrektora. Wystawiono sztukę Calderona mocno odbiegającą od szablonu warszawskiego repertuaru, sztukę trudną, nierealistyczną i dzieło autora dawno niewystawianego, podczas gdy panuje u nas system jakbyśmy *bridge*'owo powiedzieli psucia autora do końca. Jeżeli ktoś zacznie z Schillerem, można być pewnym, że cały szereg „reprezentacyjnych” premier będzie następnie czerpało z jego twórczości. Pewne sztuki powtarza się co parę lat, inne, równie wartościowe i należące do tego samego „wielkiego repertuaru” tak samo bez żadnej racji się pomija. Jednocześnie zaś wystawiono jednoaktówkę—rodzaj dramatyczny tak charakterystyczny dla współczesnego teatru na Zachodzie i to reprezentujący najwyższy jego poziom—ambitny pod względem formy i treści, a u nas całkowicie spostponowany. Podobnie jak panuje przesąd co do nowel, których nikt nie chce wydawać ponieważ jakoby nikt ich nie chce czytać, tak samo nie wystawia się jednoaktówek w obawie, że nikt ich nie zechce oglądać.

Coprawda „Życie snem” było zapowiadane już w poprzednim sezonie, a jeden z krytyków pisał, że Horzyca nie jest żadnym nowatorem, przywiózł tylko do Warszawy swój lwowski repertuar, co zaś do jednoaktówki, to jest ona dziełem szczególnie ulubionego przez teatry stołeczne Shawa, którego dłuższe utwory już prawie zostały ograne na wszystkie strony. Nie zmienia to jednak faktu, że rzeczy te wystawiono.

I z równym prawdopodobieństwem możnaby powiedzieć, że gdyby nie Horzyca, Calderon pozostałby w projektach, a zamiast „Czarnej damy z sonetów“ ujrzelibyśmy po raz nie wiadomo który np. „Pigmaliona“. Ile zaś jest słuszności w nadziejach, przyszłość okaże,

Inna sprawa, czy ambitne próby okazały się udatne. Każde odejście od szablonu pociąga za sobą trudności w wykonaniu spowodowane wkroczeniem na nowy teren. Horzyca sprowadził w tym celu nowego człowieka, tak utalentowanego i kulturalnego, jak Cwojdziński. Zaliczam się do entuzjastów autora „Freuda teorii snów“ i „Teorii Einsteina“, ale wytrawny już autor jest jednocześnie bardzo młodym reżyserem, choć po opuszczeniu Warsztatu teatralnego P. I. S. T. miał już sporą praktykę we Lwowie. Wystawienie Calderona okazało się zadaniem bardzo trudnym i cała jednostronność nauki pod kierunkiem warszawskich pedagogów ze szkoły dramatycznej wystąpiła jaskrawo. Maniera realistycznego, a nawet naturalistycznego stylu, nieumiejętność wszelkiej stylizacji, niedomaganie strony intelektualnej przy przeroście sentymentalizmu—wszystko to wyciska dość silne piętno nawet na człowieku o tak odmiennych własnych tendencjach jak Cwojdziński i utrudnia uchwycenie tonu sztuki o odmiennym charakterze. To też zarówno intelektualny *badinage* Shawa, jak patos i mistycyzm Calderona były zbyt wątłe, aby mogły się przedostać przez grubymi liniami podkreślony element realistyczny sztuki, w tym wypadku typowo drugoplanowy.

Shaw był jakby przygrywką i wyglądał jak oracja programowa. Na pierwszy plan występowało typowo po shawowsku naiwne westchnienie Elżbiety do tych czasów za lat trzysta, albo i więcej, gdy ludzie zrozumieją, że nie sa-

mym chlebem tylko żyją. Brzmiało to jakby wytłumaczesię dyrekcji z powodu „Życia snem“, które nastąpiło po tym, chęć zawstydzenia zgóry tych widzów, którzyby się krzywili na nudy. Królowa Elżbieta jednak, którą w Anglii może grać każdy, bo każdy widz ma wizję sylwetki wielkiej monarchini, zarówno moralną jak fizyczną, tu w wykonaniu Pancewiczowej zadawała raczej kłam cytowanym powyżej słowom. Była tu wyniosłość, ale nie domyślaliśmy się imponującej erudycji, inteligencji, błyskotliwości umysłu, jakim słynęła *„the faery queen"*. Równie daleko do Szekspira było Węgrzynowi, dla tego też całość była dość mało przekonywującą maskaradą.

Jeśli chodzi o Calderona, to na usprawiedliwienie reżysera trzeba wspomnieć o udziale tłumacza i dekoratora. Stoję zawsze na stanowisku, że autor przekładu powinien być przejęty dziełem, które przyswaja, jako jego współtwórca powinien być przejęty tym samym duchem jaki przenikał samego autora oryginału. Nie wystarczy znajomość języka obcego, ani własnego. W wypadku, o którym mowa, zaryzykuję twierdzenie, że dr. Boyé, autor przedmowy do tłumaczenia „Katedry“ Blasko Ibanéza, szkalujący Kościół i chrześcijaństwo, daleki jest od nastrojów uduchowionego katolicyzmu, które stanowiły atmosferę otaczającą autora „misteriów świętych“ i „Życia snem“. Widać to zresztą i z artykułu w „Teatrze“, w którym pisze o „monstrualnym“ pojęciu honoru u Hiszpanów, a Świętą Inkwizycję przyrównywa do walki byków. Z treści płynie i forma. Patos wiersza daleki był naogół od wzniosłości, trącąc tanim melodramatem.

A przecież właśnie wiersz to jeden z największych tytułów Calderona do sławy. Aby czynił wrażenie w przekładzie należy przenieść na nasz grunt jego skalę wzlotu. To zaś się nie udało.

Tym bardziej na tle dekoracyj Pronaszki. O ile na pochwałę zasługuje odstąpienie tak mocne od realistycznego ujmowania, niewątpliwie słuszne w tym wypadku, o tyle jednocześnie krok ten postąpił w nieodpowiednim kierunku. Niezły był jeszcze krajobraz dzikich i fantastycznych skał wśród których stała wieża więzienna królewicza Zygmunta. Sala tronowa natomiast nie miała ani patosu ani majestatu. Niemożność dawania w sztuce wrażenia skali i prawdziwej wzniosłości zdaje się być wyrazem fatalnego kalectwa naszych czasów, przejawiającego się w każdej dziedzinie życia.

A wreszcie Polska—fantastyczna Polska pod rządami króla Bazylego I. Ten motyw niewątpliwie pomógł do wystawienia sztuki, powinien zaś był przeszkodzić. Dowiadujemy się bowiem tylko, że nasz kraj był dla Zachodu zawsze równie fantastyczny jak dziś.—Polska Calderona odpowiada bałkańskiemu państewku współczesnych nam operetek i filmów. Postawienie zaś całości na tym tle jaskrawo dla nas nieprawdziwym stwarza poczucie nierzeczywistości, oddala od życia rzecz, która ma tak tragicznie życie przedstawiać.

Oprócz reżysera, dekoratora i repertuaru sprowadził sobie też dyrektor Horzyca i nowych aktorów. Niewątpliwie szczęśliwym nabytkiem jest Białoszczyński, aktor dojrzały, obdarzony coraz rzadszym prawdziwym nerwem tragicznym. Bezwątpienia niefortunna była w „Życiu snem“ Malanowicz-Niedzielska, która nie dorównywa wielu zupełnie siłom warszawskim, jak choćby Malkiewiczówna, L. Wysocka, czy Andryczówna lub Barszczewska. Wysoką kulturę i umiar jak zwykle pokazał Brydziński. Eichlerówna ma swój poziom, z którego nie schodzi. Wcale niezły był Łuszczewski i coraz lepszy Łapiński.

Całość? Sąd kłopotliwy. Chciałoby się jaknajżywiej przyklasnąć kierunkom repertuarowym i ambicjom, a przecież tyle zastrzeżeń jeśli chodzi o wykonanie. Powtarzam jednak, że usprawiedliwieniem większości z nich jest właśnie nowość terenu i chętnie zgadzamy się na przyjęcie ich jako nieuniknionych skutków próby wyjścia z zastoju.

A. M.

FILM

VICTORIA: „Siódme niebo", reż. Tr. Borzage, film amerykański.

Druga, dźwiękowa, wersja filmu, który przed laty chwytał za serce kinowego widza swą liryczno-sentymentalną treścią. Pieczołowita reżyseria, b. dobra gra pary amantów, a nade wszystko pięknie i pomysłowo komponowane w prostokącie ekranu zdjęcia czynią łatwiej strawnem nieco powolne tempo, potrzebne do wygrania wszystkich lirycznych czułości.

Ogółem film ciepły w nastroju, o soczystej, głębokiej w walorze, fotografii.

ŚWIATOWID: „Pepé le Moko", reż. Duvivier, film francuski.

Utwór ten może być potwierdzeniem tezy że rasowego filmowca nawet dialogi nie zwyciężą. Podziwiać tu należy przede wszystkim znakomitą pracę operatora. Nieustannie czujny, nie spoczywa ani na chwilę, krążąc nad planem filmowego widzenia. Ma swój własny styl, pozbawiony całkowicie banalności, wolny od wszelkiej estetyzacji.

W przeciwieństwie do statycznej, przeważnie, kompozycji „Siódmego nieba", cechuje ten film ciągła płynność obrazów. Jest to dzieło nawskroś współczesne, unikające łatwych krąglizn filmowego frazesu, rzeczowe w formie i wyraziste.

Z pracą operatora sprzęga się w jedno trud reżysera, osiągając szczyt wyrazu w scenie zabójstwa zdrajcy jednego z członków bandy Pepé le Moko (znakomity pomysł z pianolą). Bowiem — trzeba to wreszcie wyjawić — tak znakomicie pod względem filmowym została opowiedziana zwykła historia sensacyjno-kryminalna, oparta, jak nas zapewnia wytwórnia, na zapiskach b. inspektora policji.

Do mankamentów filmu należy słabe narastanie akcji w łańcuchu poszczególnych obrazów.

PAN. „Skłamałam", reż. M Krawicz.

Taka sobie historyjka o naiwnej dziewczynie z prowincji, która na bruku wielkomiejskim dostała się w sidła alfonsa. Potem dziewczyna się ratuje i znajduje szczęście w przystani małżeńskiej. Dawny uwodziciel nachodzi ją, szantażuje, grozi, iż wszystko wyjawi mężowi. Strzał, dramat, sąd... w końcu jednak niebo się wypogadza.

Znamy to, aż nadto dobrze znamy, cała więc sprawa polega na tem, jak rzecz została opowiedziana. Trzeba przyznać, iż wcale niezajmująco, film jest dość nudny, brak mu krwi, a przede wszystkim wyrazu. Przed zademonstrowaniem szczęścia rodzinnego, reżyser karmi nas długi czas widokiem domów schadzek; trzeba przyznać, iż unika przytem zbytnich drastyczności. Pod koniec, w scenach z sądu, film nabiera słabych rumieńców życia i tu jednak, jak i w całości, jest nudny plastycznie.

W głównych rolach Smosarska i Bodo. Bodo, aktor charakterystyczny, dobrze zrobił, iż tym razem zrezygnował z roli amanta.

ROMA: „Kala Nag".

Film b. odpowiedni dla młodzieży, według powieści Rudyarda Kiplinga. Przedstawia życie dżungli i zwierząt (słoni), obchodząc się przytym bez demonstracyj walki dzikich drapieżników, co wytwórnie filmowe zwykle chętnie go pokazywały, gwoli, jak sądziły, atrakcyjności. Mały Hindus, przyjaciel wielkiego słonia Kali Nag, ma wyrazistą buzię i ci dwaj przedewszystkim nas interesują. Dużo plenerów, mało dialogów, sporo interesujących zdjęć i szlachetne tendencje (miłość do zwierząt) oto główne i, przyznajmy, niebylejakie zalety filmu.

KANDYD

POKŁOSIE

KATASTROFALNY KWARTAŁ

LICZBY odnoszące się do ruchu ludności, ogłoszone niedawno, a tyczące się pierwszego półrocza r. b. dają powód do bardzo poważnego zaniepokojenia.

Przyrost ludności w Polsce spada od dłuższego czasu, a od r. 1931 do 1935 tempo tego spadku stało się bardzo gwałtowne. W r. 1930 mieliśmy 325 urodzeń na 10 tysięcy ludności, a w roku 1935 już tylko 261. Następny rok wykazał stabilizację liczby urodzeń, gdyż w r. 1936 było 262 i można było żywić nadzieję, że poprawa ekonomiczna przyniesie w bież. roku również poprawę na polu rozrodczości.

Pierwszy kwartał b. r. wzmacniał tę nadzieję, gdyż liczba urodzeń w tym kwartale (231 tysięcy) przeliczona na stosunek roczny dawała 275 urodzeń na 10 tysięcy, a więc poważnie więcej, niż przeciętna roku poprzedniego. Atoli drugi kwartał bieżącego roku przyniósł poważny zawód: oto ogólna liczba urodzeń spadła do 202 tysięcy, (spadek więc o 29 tysięcy), co daje w przeliczeniu na stosunek roczny tylko 236 urodzeń na 10 tysięcy ludności, a więc bardzo znacznie mniej, niż przeciętna poprzedniego roku.

Jednocześnie zwiększyła się liczba zgonów, tak, że w rezultacie t. zw. naturalny przyrost ludności w drugim kwartale spadł do niebywale u nas małej liczby ogólnej 88.794, a całe pierwsze półrocze b. roku wykazuje przyrostu naturalnego 178,757, gdy pierwsze półrocze poprzedniego roku dało 217.859 osób. Statystyka poprzednich lat poucza, że przyrost w drugim półroczu jest zwykle słabszy, niż w pierwszym każdego roku, słaba więc jest nadzieja, żeby trzeci i czwarty kwartał poprawił coś w tych wynikach.

Pierwsze półrocze b. r. daje przyrost naturalny *pro mille* 10,5. Jest to stosunek nie notowany u nas dotychczas w tak niskiej cyfrze i przesuwa nas pod względem przyrostu z drugiego miejsca na świecie na czwarte: przed nami będzie Japonia, Bułgaria i Holandia. Spadek ten wywołało, jak wspomnieliśmy zarówno zmniejszenie liczby urodzin, jakoteż wzrost liczby zgonów, lecz pierwsza z tych pozycji jest ważniejsza, gdyż liczba zgonów, zależna jest często od okoliczności przypadkowych (epidemie), gdy pierwsza natomiast mówi o słabnącej dynamice narodu, jego woli rozrostu. Dlatego też na tę pozycję liczby urodzeń należy przedewszystkiem zwracać uwagę, tymbardziej, że liczba zgonów daje się łatwiej przez rozwój higieny it.p. ściągnąć wdół, niż podnieść liczbę urodzeń, co jest bardzo trudne w społeczeństwach, w których zwyczaj jej ograniczania zapuści korzenie.

Pocieszają się niektórzy, że przyrost naturalny jest u nas jeszcze i tak dość duży, lecz pociecha to złudna. Nowsze, dokładniejsze teorie demograficzne stwierdziły, że t. zw. przyrost naturalny t. j. różnica między urodzeniami i zgonami w danym roku, nie jest wcale miarodajny do twierdzenia, czy dany naród rośnie czy jest w zastoju, czy się też cofa. Do oceny tych zjawisk trzeba bardziej szczegółowych badań, wyprowadzenia t. zw. prawdziwego współczynnika rozrodczości, gdyż dodatni nieraz przyrost naturalny zasłania sobą istniejące już i niebawem mające wyjść na jaw niebezpieczeństwo wyludnienia. Obliczenia naszych stosunków demograficznych, ogłoszone niedawno przez prof. Szulca doprowadzają do wniosku, że w ostatnich latach stanęliśmy niemal na granicy rozrostu i dalsze zmniejszenie urodzeń o zaledwie 10% sprowadzi ubytek ludności w niedługim czasie.

W drugim kwartale b. r. nastąpiło zmniejszenie więcej, niż o 10%, groźba więc wyludnienia, jakie niebawem może się wyraźnie okazać, stanęła realnie przed nami.

Zastanawiające jest to gwałtowne załamanie się liczby urodzeń, to, że nastąpiło tak nagle z kwartału na kwartał: zmniejszenie z 231 tysięcy na 202 tysiące. Uprawnia to do przypuszczenia, że działały tu jakieś przypadkowe przyczyny. Jedną z nich mogłaby być następująca: urodzenia w drugim kwartale są oczywiście owocem trzeciego kwartału poprzedniego roku. Trzeci kwartał u nas, w kraju rolniczym odznacza się większą niż w innych porach migracją ludności, wędrówkami na roboty polne i in. Być może, że w związku z pewnym ożywieniem gospodarczym ruch ten był większy niż poprzednio, co mogło wpłynąć na zmniejszenie urodzeń w drugim kwartale. Ale nie mogło to dać w żadnym razie tak gwałtownego załamania się rozrodczości.

Z ostatecznymi wnioskami trzeba czekać na liczby z następnych kwartałów, ale tym nie mniej położenie jest bardzo poważne, bo przecież każdy się zgodzi, że zatrzymanie się na osiemdziesięciu paru osobach na kwadratowym kilometrze byłoby dla Polski katastrofą. W naszym położeniu może się utrzymać tylko naród liczny i prężny. Do tego tematu będziemy jeszcze wracać.

ARGUS

NA MARGINESIE

— Proszę posłuchać co pisze „Merkuriusz":

„Było to trzydzieści kilka lat temu. Po całym Lubelskiem poszła fama: strajk rolny! Gdzie? W Jaszczowie, u pana Poniatowskiego. Pierwszy strajk rolny. Kto go zorganizował? Syn. Czy być może!

Tak jest. Pierwszy strajk rolny w Lubelskiem zorganizował u ojca młody student wydziału rolnego na Uniwersytecie Jagiellońskim..."

— Czemuż więc zawierzono mu teraz opiekę nad rolnictwem?

— Bo wiadomem było, że się nic a nic nie zmienił.

*

Żydzi w sprawie osobnych ławek odwołują się do naszych uczuć chrześcijańskich, ponieważ jednak z krzyżem iść im do ludzi nie przystoi, więc zlecili tę misję swojej służbie z lóż masońskich. Prof. Michałowicz tedy położył się między ławkami i rzekł:

— Po moim trupie!

Był to okrzyk retoryczny, ale młodzież, przyzwyczajona brać profesorów na serio, zaśpiewała *Requiem* i żydów przesadziła.

*

Żydzi studenci domagają się podobno ławek wyściełanych, więc stoją na znak protestu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.
Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.